MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 5. WARSZAWA, 31 STYCZNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

SAMORZĄD SANACYJNY

ZAGAJAJĄC w sejmie dyskusję nad nowym projektem ustroju samorządu terytorjalnego, p. minister Pieracki podkreślił przedewszystkiem jego unifikacyjny charakter. I istotnie projekt ten posuwa bardzo daleko ideę unifikacji. Znosi on zupełnie dotychczasowe różnice między b. Kongresówką, a b. Galicją, utrzymuje jedynie nieznaczne odrębności w województwach zachodnich i wschodnich.

Zagadnienie unifikacji samorządu w Polsce uchodzi właściwie, zarówno w kołach naukowych jak i politycznych, za wyjaśnione. Uznając ścisły związek samorządu gminnego z geograficznemi i historycznemi warunkami poszczególnych części państwa, jak również z gospodarczym i kulturalnym poziomem ludności, znawcy samorządu sprzeciwiają się pośpiesznej i zbyt daleko idącej jego unifikacji pod względem prawnym i twierdzą, że nie można jednemi i temi samemi normami prawnemi objąć wsi wielkopolskiej i poleskiej, albo Poznania i Baranowicz. Stronnictwo Narodowe, uwzględniając ponadto jeszcze interes ludności polskiej na ziemiach wschodnich, zamieściło też w swoim programie utrzymanie różnicy ustroju samorządu w różnych dzielnicach państwa. Stronnictwa lewicowe z P. P. S. na czele oświadczały się wprawdzie za unifikacją, jednak w kompromisowym projekcie drugiego Sejmu zgodziły się na utrzymanie dotyczasowego samorządu Wielkopolski i Pomorza, na odrębną ordynację dla gmin wiejskich na Kresach wschodnich, na czasowe nie wprowadzanie tam ustawy miejskiej oraz na inne, niż w reszcie państwa, uprawnienia nadzoru państwowego w województwach wschodnich i południowo-wschodnich. Doktryna musiała poczynić ustępstwa wobec wymogów życia.

Zapał wyznawców federalizmu i regjonalizmu do zupełnej unifikacji samorządu terytorjalnego wygląda paradoksalnie. Postaramy się wyjaśnić ten paradoks, przedtem jednak trzeba podać pobieżną choćby charakterystykę projektu, streszczając jego najważniejsze postanowienia.

Długoletni spór o typ gminy wiejskiej rozstrzyga projekt rządowy na korzyść gminy zbiorowej. W Małopolsce, Wielkopolsce i na Pomorzu gminy jednowioskowe będą przemianowane na sołectwa, względnie gromady, które będą następnie łączone w gminy. Rady gromadzkie, powstałe z wyborów bezpośrednich, będą wybierały radnych gminnych, a ci z kolei wójta i innych członków zarządu gminy (podwójciego i ławników).

Dyskusja na temat ustroju gminy wiejskiej, prowadzona na zjazdach i w czasopismach samorządowych, doprowadziła do przewagi jednego poglądu, nie pokrywającego się z tem, co zawiera projekt rządowy. O ile uznano zgodnie, że obecne gminy w województwach zachodnich, a częściowo także w Małopolsce, są zbyt małe, aby mogły podołać zadaniom, i dlatego powinny być powiększone drogą łączenia, o tyle bynajmniej nie utrzymał się pogląd, jakoby tak połączone gminy musiały mieć charakter zbiorowy, czyli opierać się na podbudowie pod postacią gromad. Nie tylko Wielko- i Małopolanie, ale także część samorządowców z b. Kongresówki opowiada się za gminą większą terytorjalnie, ale nie będącą zbiorem oddzielnych gromad. W niezupełnie ścisłym skrócie nazywa się ten typ: gminą średnią. Wspomniany wyżej projekt samorządowy drugiego Sejmu oparty był na tej koncepcji, przy zgodzie posłów ze wszystkich dzielnic państwa.

Zwolennicy gminy średniej zarzucają wielkiej gminie zbiorowej małą żywotność w sprawach samorządowych, z powodu zbyt rozległego terytorjum i wygórowanych kosztów personalno-administracyjnych. Nie przeczą natomiast, że gmina zbiorowa, jako pośrednie ogniwo między wsią i administracją powiatową, może przyczynić się do usprawnienia tej ostatniej. Wójtowie, a zwłaszcza pisarze gminni i ich pomocnicy, uzależnieni osobiście od starosty, mogą być znakomitem narzędziem, ułatwiającem staroście spełnianie jego zadań, które w pomajowych stosunkach niezmiernie się rozszerzyły.

W urzędach gminy zbiorowej może administracja polityczna znaleźć nie tylko „oczy i uszy“, ale także ręce i nogi, potrzebne do podtrzymywania od dołu panującego systemu. Ten właśnie wzgląd, niewiele mający wspólnego z samorządem, zdecydował o zwycięstwie gminy zbiorowej.

Ofiarą tego zwycięstwa padła — jak się to często obecnie zdarza — Konstytucja, której art. 65 wyklucza możliwość czterostopniowego podziału administracyjnego i czterostopniowego samorządu. Artykuł ten brzmi:

„Dla celów administracyjnych Państwo Polskie podzielone będzie w drodze ustawodawczej na województwa, powiaty i gminy miejskie i wiejskie, które będą równocześnie jednostkami samorządu terytorjalnego“.

Przepis ten jest zupełnie jasny. Wyklucza on istnienie obok gminy, powiatu i województwa innych jednostek podziału administracyjnego i samorządu terytorjalnego. Wprowadzenie gminy zbiorowej, opartej na gromadzie, jako najniższej komórce samorządu, wymaga zatem uprzedniej zmiany Konstytucji.

Widocznie twórcy projektu samorządowego nie bardzo w tę zmianę wierzą, skoro zdecydowali się na wniesienie wyraźnie antykonstytucyjnej ustawy. Brakło nawet znanej z innego terenu pomysłowości interpretacyjnej. Postanowienia projektu, odnoszące się do gminy zbiorowej i gromady, uległy w ostatniej fazie — przed uchwaleniem go przez Radę Ministrów — pewnym zmianom, które miały na celu złagodzić sprzeczność z konstytucją, a w rezultacie jeszcze ją zaostrzyły. Zwężono wprawdzie nieco zakres działania gromady, a raczej — jak to się obecnie mówi — „uelastyczniono“ go, ale nie odebrano jej charakteru prawnopublicznego związku terytorjalnego, polegającego nie tylko na wykonywaniu pewnych zadań samorządowych, ale przedewszystkiem na uprawnieniu radnych gromadzkich do wyboru rady gminnej.

Ponieważ poza radą gromadzką i radą miejską wszystkie organy samorządu (rady gminne i powiatowe, zarządy gmin, wydziały powiatowe) mają powstawać z wyborów pośrednich, przeto jedynem uprawnieniem mieszkańca wsi w zakresie samorządu jest głosowanie raz na pięć lat na radnych gromadzkich. A zatem w systemie wyborczym samego projektu tkwi niezbity dowód, że najniższym stopniem, komórką ustrojową samorządu ma być nie gmina lecz gromada, a stąd wniosek, że projekt jest sprzeczny z art. 65 Konstytucji. Sprzeczność tę podkreśla jeszcze podwójne ujęcie prawne tego samego terytorjum, raz jako gromady, to znowu jako sołectwa, mającego być obwodem administracyjnym gminy, albowiem Konstytucja administracyjnego podziału gminy nie przewiduje. Niezgodnie z Konstytucją jest ujęta także sprawa nadzoru nad samorządem. Według art. 70 Konstytucji:

„Państwo będzie sprawowało nadzór nad działalnością samorządu przez wydziały samorządu wyższego stopnia“. Zaś według projektu nadzór ten spełniają naczelnicy rządowych władz administracyjnych (starostowie, wojewodowie i minister spraw wewnętrznych), którzy w pewnych wypadkach mają wysłuchiwać tylko wniosków i opinij wydziałów samorządu wyższego stopnia. Przy najistotniejszej funkcji nadzorczej, którą jest zatwierdzanie wójtów, burmistrzów, prezydentów miast i innych zawodowych członków organów zarządzających samorządu, wydziały wyższego stopnia nie mają żadnego głosu, nawet opinjodawczego.

Zasadnicza konstrukcja projektu polega na ograniczeniu organów uchwalających na rzecz organów zarządzających: walka z „sejmowładztwem“ znalazła swój wyraz także na terenie samorządu Równocześnie projekt przyznaje rządowi decydujący wpływ na skład osobowy zarządów gminnych i miejskich. Sołtysi, wójtowie, burmistrze i prezydenci miast muszą po wyborze uzyskać zatwierdzenie odpowiedniej władzy rządowej. Odmowa zatwierdzenia równa się unieważnieniu wyboru. Następuje ponowny wybór. Jeśli i ten nie wypadnie po myśli władzy zatwierdzającej, mianuje ona komisarza na przeciąg 1 roku. Po roku znowu wybór. Jeśli i tym razem nastąpi odmowa zatwierdzenia, nieposłuszna rada gminna względnie miejska ulega rozwiązaniu. Jak widać, prawa samorządu w zakresie najważniejszej jego funkcji, jaką jest wybór władz gminnych, są bardzo problematyczne. Rada miejska, która nie zechce narazić miasta na dokuczliwe zwykle rządy komisarskie, a siebie na rozwiązanie, będzie musiała przed wyborem badać stopień przychylności władzy zatwierdzającej dla poszczególnych kandydatów. To nie jest wybór, ani nawet propozycja, ale ukryta forma nominacji.

Bogatą treść wewnętrzną posiada przepis, uzależniający zatwierdzenie od „odbycia rocznego okresu próbnego“. Ileż gorliwości musi wykazać człowiek, poddany tej próbie, aby po roku uzyskać zatwierdzenie?

Ale na tem nie koniec. Chociaż niezawodowi dygnitarze samorządowi wybierani są na okres kadencji (w zasadzie 5-o letni), a zawodowi na lat 10, to jednak mogą oni każdej chwili być złożeni z urzędu przez władzę nadzorczą.

Może to się stać:

„a) gdy członek tego organu nie wykonywa ciążących na nim obowiązków lub spełnia je nieudolnie, ze szkodą dla interesu publicznego;

b) gdy członek organu zarządzającego postępuje przy wykonywaniu mandatu w sposób, obniżający powagę i zaufanie, jakiego wymaga zajmowane przez niego stanowisko w administracji publicznej“.

To „zaufanie“ wystarczy, aby człowiek o poglądach opozycyjnych lub nawet bezpartyjny, któremu udało się przejść przez igielne ucho zatwierdzenia, lub który zatwierdzeniu nie podlegał (niezawodowy ławnik), był złożony z urzędu — bez przeprowadzenia dochodzenia dyscyplinarnego, bez wyroku.

Jeszcze i tego mało. Oprócz, „konfiskaty“ zawiera projekt także „cenzurę prewencyjną“. Zawodowi członkowie zarządów gminnych i miejskich, którymi muszą być prezydenci i wiceprezydenci miast wydzielonych, a mogą być wójtowie, burmistrze i ławnicy, prócz oznaczonego w ustawie cenzusu wykształcenia i odbytej praktyki muszą jeszcze posiadać egzamin. Program takich egzaminów oraz skład komisyj egzaminacyjnych ustalać będzie minister spraw Wewnętrznych w porozumieniu z ministrem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Kandydat, nie posiadający wymaganego cenzusu wykształcenia, może od ministra względnie wojewody otrzymać dyspensę, ale musi składać jeszcze drugi egzamin, zwany „zastępczym“.

A zatem, jak dobrze pójdzie, to niedługo będziemy świadkami egzaminu konkursowego na prezydenta miasta stołecznego Warszawy. Ciekawość, jaki egzamin i przed kim będą składać... egzaminatorzy?

Przy tak pomysłowo skonstruowanym wpływie władz rządowych na skład zarządów miast, wsi i powiatów, sprawa wyboru organów uchwalających schodzi na drugi plan. Jeśli i tutaj projekt przyznaje rządowi ogromne uprawnienia, to raczej z rozmachu, niż z potrzeby.

Wybory rad gminnych i powiatowych mają się odbywać systemem pośrednim. Pierwsze będą wybierane przez radnych gromadzkich, drugie przez rady gminne i miejskie (miast niewydzielonych). Bezpośrednie będą jako wybory do rad gromadzkich i miejskich według systemu t. z. ograniczonego głosowania, polegającego na tem, że wyborca głosuje na połowę tej liczby kandydatów, która przypada na dany okręg wyborczy (miasta ponad 5.000 mieszkańców będą dla celów wyborczych dzielone na okręgi). W rezultacie wychodzi na to, że dwie najsilniejsze w danym okręgu grupy podzielą się mandatami po połowie. Jest to zatem system idealnie sprzyjający niemożności powstania niezbędnej w każdem ciele uchwalającem większości. Zapewne po to, aby decydował „czynnik nadrzędny".

Twórcy projektu nie zadali sobie wiele trudu z ordynacją wyborczą. Umieściwszy w jednym artykule samą zasadę ograniczonego głosowania na połowę kandydatów, postanowili, że wszelkie inne przepisy o wyborach będą zawarte w „regulaminie", który wyda Minister Spraw Wewnętrznych. W ten sposób najróżniejsze postanowienia ordynacji wyborczej, jak spisy wyborców, różne terminy, skład komisyj wyborczych, reklamacje i protesty wyborcze, a przedewszystkiem przebieg głosowania,—to wszystko ma być zawarte w zwykłem rozporządzeniu ministerjalnem. Ulubiona w ostatnich czasach praktyka luzów ustawowych została tutaj posunięta bardzo daleko. Nie trzeba zbyt bujnej wyobraźni, aby przewidzieć, jak będą wyglądały te wybory samorządowe.

Napisaliśmy wyżej, że wybory organów uchwalających, wobec zupełnego uzależnienia organów zarządzających, są dla obozu rządowego zagadnieniem drugorzędnem. Mają one natomiast doniosłe znaczenie polityczne, wybiegające poza lokalne interesy gminy, na naszych ziemiach wschodnich.

Ponieważ system ograniczonego głosowania do rad gromadzkich nie będzie stosowany w województwach: wileńskiem, nowogrodzkiem, poleskiem i wołyńskiem, zastrzeżenia nasze dotyczą Wschodniej Małopolski. System ograniczonego głosowania na połowę kandydatów w obecnych gminach wiejskich, które będą przemianowane na gromady, wyda takie rezultaty, że gdzie ludność polska liczy 34 — 50%, tam może zdobyć połowę mandatów. Natomiast tam, gdzie Polacy stanowią mniejszość poniżej 34%, mogą oni w radzie gromadzkiej znaleźć się bez mandatu. Przykład: W pewnej wsi mieszka 30% Polaków i 70% Rusinów. Jeżeli większość ruska podzieli się przy głosowaniu na dwie grupy, liczące po 35% wyborców, to przy proponowanym systemie zdobędzie obie połowy mandatów. Rezultat ten z kolei odbije się ujemnie na pośrednich wyborach do rady gminnej, a następnie i do rady powiatowej. A takich gmin jest w Małopolsce Wschodniej bardzo wiele, stosunkowo najwięcej.

Rzecz znamienna, że projekt przynosi najgłębiej sięgające zmiany tej dzielnicy, która może szczycić się najlepszemi wynikami pracy samorządu, t. j. dzielnicy zachodniej. Jest to nowy powód, że rzekoma troska autorów projektu o zdrową organizację samorządu musi budzić daleko idącą nieufność.

Ogólna charakterystyka projektu przedstawia się w ten sposób, iż przez wzmocnienie stanowiska organów zarządzających i całkowite uzależnienie ich pod względem personalnym od rządu projekt znosi faktycznie samorząd, czyniąc zeń powolne narzędzie administracji rządowej. Ulokowanie na terenie całego państwa na koszt samorządu kilku tysięcy „swoich" ludzi na ważnych stanowiskach publicznych, z równoczesnem usunięciem „nieswoich" — oto istotny cel projektu i pośpiechu, z jakim go wniesiono. W tem oświetleniu projekt samorządowy jest jednorodny z zamierzonem ograniczeniem autonomji uniwersyteckiej, adwokatury i sądownictwa.

„Sanacja" weszła w nową fazę. Skończył się rozmach rewolucyjny, znany pod nazwą „radosnej twórczości". Obecny „wyścig pracy" ustawodawczej zmierza do okopania się na zdobytych pozycjach.

MEDARD KOZŁOWSKI

U PODSTAW TRZECIEJ REPUBLIKI

TRZECIA Rzeczpospolita Francuska, po przebyciu Wielkiej Próby, weszła do historji, za życia, i musi być rozważana jako niewątpliwa *matter of fact* dziejowa, zasługująca na zanalizowanie i zrozumienie. Ze względu na dość znaczną dozę paradoksu w jej budowie i ustroju, zadanie to nie jest bynajmniej proste i właśnie dlatego nęci w ostatnich latach pokaźną ilość piór i historyków i polityków. Jest to nawet nielada gratka dla psychologów i fizjologów życia społecznego. Na długo przed wojną zainteresował się Trzecią Rzeczpospolitą nie kto inny, jak sam Anatol France w swojej „*Vie Contemporaine*" (*L'orme du mail*, *L'anneau d'améthyste*, *Le mannequin d'osier*, *Monsieur Bergeret à Paris*); ujął tam tę rzeczywistość po swojemu, ale była to jego wielka epoka: to też jego subtelny pamflet zyskał mu raz na zawsze uznanie obozu Maurrasa...

W latach najnowszych tem paradoksalnem istnieniem — i zwyciężaniem *malgrè tout* Trzeciej Rzeczypospolitej zajęli się m. in. André Siegfred w swym „*Tableau des partis en France*"[1]) i ostatnio Daniel Halèvy w doskonałym tomie, zatytułowanym „*Dècadence de la Liberté*"[2]). Tych dwu autorów pragnę tu wziąć za przewodników, czasem za odskocznię, do uwag, którebym chciał współczesności politycznej francuskiej na łamach „Myśli Narodowej" poświęcić.

---

[1]) Grasset, 1930.
[2]) Grasset, 1931.

Zaczynamy od zagadnienia wyborów parlamentarnych, jako symptomu i djagnozy.

Problem wyborów jest podstawowy dla każdego ustroju parlamentarnego. We Francji republikańskiej odgrywa rolę przykładową — nie mówię przykładną — topiczną. Ze względu na absolutne zapatrzenie się naszej konstytucji marcowej na wzory francuskie, sądzić wolno, że i dla nas rozpatrzenie roli i znaczenie wyborów parlamentarnych we Francji mieć może swoją wymowę.

W ciągu sześćdziesięciolecia Trzeciej Republiki wybory, bez większych zaburzeń chronologicznych, odbywały się co cztery lata: 1871, 1876, 1877, 1881, 1885, 1889, 1893, 1898, 1902, 1906, 1910, 1914, 1919, 1924, 1928. Jak widzimy, większą perturbację zauważamy tylko raz jeden: w r. 1877 odbyły się wybory po roku, wskutek rozwiązania Izb przez prezydenta — marszałka Mac-Mahona. Nawet Wielka Wojna doprowadziła tylko do pięciolecia zamiast normalnego czterolecia, co zresztą parokrotnie widzimy na przestrzeni tych lat sześćdziesięciu.

Właściwie już ta regularność ludowej konsultacji ma swoją wymowę. Ale lata te i ich rezultaty warte są bliższej analizy: może jej wyniki będą znacznie mniej namacalne, niżby się to zdawać mogło.

Wybory tragiczne roku 1871, uzupełnione w r. 1872, w obliczu wojny i okupacji dały izbę niejasną, niezdecydowaną, która jednym(!) głosem większości uchwali ustrój republikański. Prezydentem, po upadku Thiersa (obalili go monarchiści i konserwatyści), został Mac-Mahon, marszałek cesarski, nic z lewicą nie mający wspólnego. Jeśli nawet był jeden głos większości republikańskiej, nie oznaczał on napewno mniejszości konserwatywnej. Sądzić wolno, że ten jeden głos żadnemu z historyków nie pozwoliłby z „głosu ludu“ odczytać woli ludu...

Ale tu okazało się działanie hypnozy wyrazowej: ów jeden głos większości wywiódł był na tron francuski zaiste nie Mac-Mahona, ale jeden wyraz magiczny: R e p u b l i k ę. Granica między nominalizmem a realizmem miała się tu okazać niezwykle nikłą. Najbliższe wybory miały dowieść, że nominalizm republikański prowadzi w prostej linji do realizmu...

Jakoż wybory 1876 roku dały większość 350 republikanów na 150 konserwatystów (monarchistów). Prezydent Mac-Mahon nie był zagrożony: duża część republikanów stawała przy nim, tak dalece, że wybory uchodziły raczej za mac-mahońskie, niż za republikańskie. Mac-Mahon, pod dyktatem konserwatystów, nie wierzących w klęskę, rozwiązał jednak Izbę po roku.

Wyboru roku 1877 przyniosły znowu większość republikańską. Tym razem wreszcie *vox populi* zdawał się wyraźny. Co chciał wyrazić, do dzisiaj dnia nie bardzo widać.

Zdaje się, działała tu głównie psychoza po-wojenna. W lat sześć po wojnie nie chciano o wojnie słyszeć (mimo przegranej!) Obóz konserwatywno-monarchiczny był bodaj pomawiany o ambicje rewanżu: obecność marszałka była drażniąca. Wybory były przedewszystkiem pacyfistyczne: prasa bismarkowska wyraziła im za Renem swoje uznanie... Społecznie biorąc, większość republikanów podkreślała swój konserwatyzm: kandydaci chętnie zaopatrywali się w bezpiecznik: *rèpublicain conservateur*. Sądzić wolno, że druga część tej nazwy była tylko taktyczną, na krótką metą wyborczą, a pierwsza zachowywała swą siłę aktywną, trwałą i obowiązującą. *Rèpublique oblige* możnaby powiedzieć: ci „konserwatywni“ republikanie niepowstrzymanie od tego roku 1877 pójdą coraz bardziej na lewo: są to protoplaści radykalnych socjalistów, którym tak trudno dziś występować przeciw socjalistom. Ich głębokim rysem psychologicznym (może nawet rysą psychologiczną) zdaje się być prawdziwa fobja przed wszystkiem, co ich przenosi swym poziomem, przed autorytetem, przed tradycyjnemi siłami społecznemi szlachty i kleru, nawet przed ambicjami jednostek i ich zbytniem uzdolnieniem. Autentyczni spadkobiercy hasła równości i fobij Jana Jakóba: Andrè Siegfried w swojej książce, bardzo złośliwie i dosadnie ich charakteryzując, wróży im nieśmiertelność jako stronnictwu mierności i miernoty. Umrzeć nie mogą: przetrzymali i Panamę i Oustrica...

Cecha ta działała już bodaj w r. 1877. W każdym razie zjawia się już wtedy stosunek sił, który, z bardzo rzadkiemi wyjątkami, nigdy już właściwie się nie przesunie, po dzień dzisiejszy: Francja rozpada się na dwa bloki: na ok. 320 republikanów i na ok. 200 konserwatystów, t. zn. 4 miljony głosów lewicy na jakieś 3.700.000 głosów prawicy...

Tak więc w r. 1877 może już być mowa o jakichś obowiązujących proporcjach Trzeciej Republiki, z których powinny wyniknąć odpowiednie posunięcia taktyczne i strategiczne w polityce kraju, jeżeli wogóle wybory parlamentarne odpowiadają jakiejś istotnej prawdzie.

Otóż tu najbliższa kadencja miała przynieść zjawiska zastanawiające.

Jako tako jasną dyrektywą, daną przez wyborców wybrańcom roku 1877, był ich pacyfizm: otóż tu wnet przyszło stwierdzić conajmniej dwie wojny, prowadzone przez rząd republikański. Jedną wewnętrzna wojna religijna, antyklerykalna, drugą — zewnętrzna, kolonjalna. Wojna sekciarstwa antykatolickiego pojawia się wtedy dość nagle, z wielką siłą, rozporządzając, jak słusznie stwierdza Halévy, osobną milicją: nauczycielstwem ludowem. Co do kolonij, kadencja 1877 — 1881 przygotowuje wyprawę tuniską.

Sądzić wolno, że naogół oba te fakty raczej zaskoczyły opinję publiczną. Jednakowoż wybory 1881 roku nie sprowadzą zmiany. Batalja parlamentarna rozegra się głównie o Tunis. Izba jest tak przeciwna wszelkim wojnom, zwłaszcza nie na granicy Renu, że kolejno obala Ferry'ego, autora wyprawy tuniskiej, i Gambettę, jej zwolennika...

A jednak! Izba nowa roku 1885, która znów dała podobny stosunek głosów, nie zdoła przeszkodzić nie tylko Tunisowi, ale już nawet i dalekim tonkińskim podbojom. Coraz wyraźniej, coraz namiętniej, *vox populi*, z potężną pomocą trybuna, jakim był Clemenceau, domagał się przerwania wojen kolonjalnych. A tymczasem te trwają, na szczęście Francji. Jak to zrozumieć? Jak właściwie działa ta machina parlamentarna?

Widok jest zaiste godzien uwagi: raz jeden *vox populi* przemówił wyraźnie, głośno, niedwuznacznie. I na nic: nasz autor stwierdza ironicznie, że już bezpieczniej wyborcom — mówić niewyraźnie. Mniej to kompromituje...

Rzecz była w tem, że zaangażowany już był honor munduru. Nie chciano robić rządowi zbytnich trudności. Chodziło o uchwalenie 80 miljonów: uzyskano cztery głosy większości, dzięki unieważnieniu dwudziestu paru mandatów...

Ale idźmy dalej. Nadchodziły gorące czasy. Losy Trzeciej Republiki miały się rozegrać w trzech

aktach: Boulanger, Panama, afera Dreyfusa, z Wielką Wojną jako epilogiem...

Izba odegra w tem wszystkiem dziwną rolę, zaiste niepierwszorzędną.

Początkiem zawrotnej i tak krótkiej — z jego własnej winy — karjery Boulangera jest znów wyraźna *vox populi*, która w całym szeregu departamentów wybiera go, wyznaczając w ten sposób rodzaj samorzutnego plebiscytu. Było to całkowicie po linji prawa, ale trąciło dyktaturą: Izba natychmiast specjalną uchwałą zmieniła prawo wyborcze, znosząc możliwość kandydowania z paru okręgów. Izba odniosła tym razem zwycięstwo nad wolą ludu!

Z Panamy wyszedł parlament skompromitowany wraz z całym systemem wyborczym. Przyzwyczajono się wtedy do szukania opinji ponad głowami poselskiemi. Dowiodła tego afera, która roznamiętniwszy cały kraj, w obradach Izb przechodzi prawie niepostrzeżenie: minister Méline, mógł ku ogólnemu zadowoleniu obecnych oświadczyć w Izbie: „*Il n'y a pas d'affaire Dreyfus*...“

Z rokiem 1902 następuje zdecydowanie lewicowy okres polityki francuskiej, z Combes'em jako patronem. Przy prawie niezmienionym stosunku głosów (prawica nie spada nigdy poniżej 200 mandatów i 3.500.000 głosów), lewica przechodzi do zdecydowanej ofensywy antykościelnej, która wybucha nagle i zjadliwie, nie mając za sobą zdecydowanej opinji. Działała tu bodaj zwarta, tajna grupa masońska, która obezwładniła inicjatywą przeciwnika.

Przy niewzruszonym dalej stosunku głosów, ale przy osłabionej zwycięstwem inicjatywie lewicy, wyrośnie jednak wnet pokolenie polityków, grupujących się koło Poincarè'ego, które lewicy wydrze w roku 1913 3-letnią służbę wojskową i przygotuje wzorowe zachowanie się lewicowej znów Izby z roku 1914 w czasie Wielkiej Wojny.

Większość jest tu niby dalej radykalna, niczem za Combes'a, ale Millerand, Viviani, sam Briand jakoś dziwnie bieleją. A młodzież idzie zdecydowanie za Maurrasem i Barrésem, za Péguym. Izba radykalna ugnie się wreszcie pod gniewną pięścią eks-radykała Clemenceau...

Z tej całej historji, w tem najparlamentarniejszem z państw kontynentu, Izba nie wychodzi otoczona aureolą. Można, zdaje się, przypuszczać, że naogół wybory odzwierciadlają raczej przeszłość, niż przyszłość, raczej to, do czego się wyborcy przyzwyczaili, niż to, czego chcą, bo tego sami nie wiedzą. Prawo to potwierdzają wyjątki, t. zn. ataki gwałtownego entuzjazmu czy oburzenia, jak bulanżyzm i konserwatywna, chwilowa reakcja po Panamie.

Jeżeli tak, stwierdzić należy, że sama instytucja parlamentu kraju ani nie zorganizuje ani nie utrwali. Potrzeba tu czego innego. I tego szukać będzie Halévy w dalszych rozdziałach książki. Jej część pierwszą, p. t. *Vox populi*, traktować należy dopiero jako diagnozę.

Bezstronnie stwierdzić należy, że mamy tu do czynienia z poglądem pesymistycznym na parlamentaryzm francuski, widzieliśmy, bardzo wymownym.

Liberalizm parlamentarny jest natomiast w czasach ostatnich reprezentowany przez protestanta Siegfrieda. Doskonale obznajmiony z defektami *regime*'u, jest on jednak, przyznaje to, do niego przywiązany. Są w tej rozpędzonej machinie lewicowej znakomite hamulce. Ile razy frank w niebezpieczeństwie, zawsze hamulec centrowy (*gauche radicale*) przerzuca się na prawo: polityka Don Kiszota z Sancho Pansą jako ministrem finansów. Określenie zjadliwe ale trafne. Powtóre uderza Siegfrieda pewna cykliczność zmieniających się tak często — pozornie — gabinetów francuskich: następujące po sobie gabinety układają się w okresy, z których każdy, wieloletni, stanowi dopiero istotne przestawienie zwrotnicy politycznej (tak np. 1895 — 8 era republiki konserwatywnej Méline'a, 1898 — 1905 lewicowe rządy Waldeck-Rousseau i Combes'a, 1905 — 14 pośredni okres Briand — Barthou — Clemenceau — Viviani. Po wojnie rytm podobny: 1919 — 24 *bloc national*, 1924 — 26 *cartel des gauches*, 1926 — 30 — 31 Poincaré — Tardieu — Laval).

Z pewną racją cytuje Siegfried pewne obrazowe porównanie: „*Le Français porta son fusil tantôt sur l'èpaule droite et tantôt sur l'èpaule gauche, mais il ne tombe en somme que très rarement dans le fossé*“.

Zgodziłby się na to i Daniel Halévy, ale wątpić wolno, czyby zasługę przypisał tu konsultacji ludowej. Ta *vox populi* wygląda jednak w tem wszystkiem dość litościwie.

Muszą, poza nią, istnieć jakieś ukryte sprężyny.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

卐

U NAS zna się tylko słowo: „*Hakenkreuz*“. A tych, co pod to godło zapisani, nazywa się krótko: „*Hakenkreuzerami*“, co ma znaczyć, że to mniejwięcej to samo, co dawniej od H. K. T. wzięło nazwę, to znaczy hakatyści, co znów ma znaczyć pewien gatunek i pewna (może nawet wielka) ilość Niemców, zaczepnie i drapieżnie nastawionych wobec swych sąsiadów i wrogów.

Otóż tak łatwo i tak prosto z tem wszystkiem nie jest. Nie można dać się zasuggestjonować i patrzeć na to tylko przez szkła „niemieckich“ t. zw. „*Weltblattów*“, to jest za ery semiliberalizmu rozbudowanych olbrzymich megafonów prasowych, które jako organy dawnego, zapadającego się świata, drżąc słusznie o swoją skórę, wysilają się do ostatecznych granic, aby ten cały kierunek, cały „zakon“, tę całę nową wiarę przedstawić przed zagranicą, przed światem w najczarniejszych barwach. To nie jest nic w każdym razie przemijającego i nic powierzchownego i nic tylko — politycznego i tylko — niemieckiego. To już teraz liczy olbrzymie rzesze zwolenników w Skandynawji, Szwajcarji, Italji, a maluczko i we Francji zaczną się z tym ruchem ideologicznym głębiej zapoznawać i oswajać.

U nas zna się tylko nazwisko twórcy ruchu, Hitlera i jego dwóch paladynów, Goebbelsa i ostat-

nio Rosenberga, ale zna się tylko z posunięć politycznych i tylko przez szkła koszerne i jeszcze z demonstracyj i awantur w Gdańsku. Od czasu do czasu pewne czynniki wyławiają, skwapliwie przysyłane im z Berlina (i to przeważnie z prowincjonalnej, świeżej, nieodpowiedzialnej prasy hitlerowskiej) wystąpienia gwałtowne w tonie, i to przeciw Francji lub przeciw Polsce. Pisemka hitlerowskie piszą młodzieńczo, więc zażarcie, napastniczo, ale szczerze, to samo literalnie, co spokojnie, umiarkowanie, chytrze i przebiegle piszą „*Weltblatty*". Że jednak drastyczniejsze i efektowniejsze w suggestji są sny o potędze i odwecie hitlerowskich „socjalnacjonalistów", więc wywołują wrażenie optyczne, fałszywe i złudne, że tylko, podsycają militaryzm i wojowniczość teutońską...

Hitleryzm niemiecki, to oczywiście i stanowczo nie tylko sam Hitler — Mahomet i masy, miljony jego wiernych. To przedewszystkiem cały szereg pisarzy i publicystów, którzy całokształt ideologji z dość wielkim mozołem, eklektycznie i nie bez wahań o wielkiej amplitudzie konstruują. Aby gruntowniej z tem się zapoznać, trzebaby przewertować przeszło osiemdziesiąt publikacyj, to cienkich broszur, to grubych tomów. Lektura codziennej prasy hitlerowskiej nie daje żadnego pojęcia, informuje tylko o fluktuacjach taktycznych i poczynaniach strategicznych.

Jedyne dzieło przewódzcy: „*Mein Kampf*" daje bardzo skąpe wyobrażenie nawet o nim samym, jako materjał zbyt prymitywnie biograficzny. Już znacznie ważniejsze są trzy prace bałtyckiego emigranta i dyplomatycznego *leadera* partji Alfreda Rosenberga, szczególnie zaś jego zdemaskowanie kapitalistycznego wolnomularstwa, tegoż matactw i łajdactw („*Der Freimaurerische Weltbund*"). Z kolei bardzo interesujący jest Rudolf Reinhardt, demaskujący kapitalizm giełd i koncernów („*Die Herrschaft der Boerse*"). Gnicie i rozkład prasy judemokratycznej, wielkokapitalistycznej zdemaskował bez reszty Anton Meister („*Die Presse als Machtmittel Judas*"). Krytyce Marksizmu i socjaldemokracji starego stylu poświęcił się całkowicie w trzech pracach solidnych dr. Al. Schilling, także Bałt z pochodzenia („*Die Wissenschaftlichen Grundlagen des nation. Socialismus*"). Głównym ekonomistą i gospodarczym teoretykiem kierunku jest inżynier Gottfried Feder. Ale tak ci, jak jeszcze inni (Fichler, Dorner, Krebs, dr. Pfaff, stary Reventlow, dr. Riehl) mogą zainteresować tylko specjalistów, badaczy ruchu (który wnet odegra w Europie rolę bardzo wielką), jak i tych Niemców, którzy chcą się dać, nawrócić.

Kwalifikującym się natomiast na eksport, na zagranicę, bezwzględnie poznania godnym, zarazem głębokim myślicielem i wprost świetnym stylistą jest stosunkowo mało nawet w Niemczech znany, bo dla szerszych warstw mniej przystępny i na dzisiejsze czasy za gruntowny dr. Hans Buchner. Wyszedł także z ekonomji i z tej dziedziny dał kilka wybitnych prac o „konsumach", o Davesie, o „domach towarowych", „zarys narodowo-socjalistycznej teorji ludowo-gospodarczej". Żeby zdać sobie sprawę i orjentować się w dość zygzakowatych poczynaniach hitlerowców, w ich balansowaniu od omal komunistycznych punktów programu aż do zasadniczej obrony zachodnio-europejskiego kapitalistycznego ustroju „epurowanego" t. j. wyczyszczonego z banków i giełd, trzeba koniecznie sięgnąć do dzieł Buchnera, przedewszystkiem do jego: „*Die Goldene Internationale*". Kapitalnym zaś przewodnikiem niejako „*vademecum*" czy też dekalogiem całego kierunku, kwintesencją generalnego planu „regeneracji świata"(!) jest tegoż Buchnera maleńka broszura 66-stronicowa, pod zwięzłym tytułem: „*Secessio Judaica*".

Jak w studjum Rudolfa Junga („*Die Rassengedanke um nation. Socialismus*") tak i w tej broszurce zawarte są podstawy t. zw. „*rassismu*" t. j. ochrony i ratunku rasy germańskiej przed zbytnią infiltracją ras obcych, szczególnie nie aryjskich. Że ten „*rassism*", mocno odmienny i różniący się od dawnego z ery Wilhelmowskiej (H. S. Chamberlain), nie jest znów tak bojowo nastawiony przeciw promiscencji z narodami słowiańskiemi, o tem świadczyć może chociażby to, że tak bezwzględni w proklamowaniu czystości rasy i pochodzenia hitlerowcy mają wśród swych działaczów i pisarzy wybitnych ludzi o nazwiskach takich, jak Wolschak, Mossakowsky, Studentkowsky. Nie należy tedy zbyt wierzyć „*Weltblattom*" berlińskim, wiedeńskim, frankfurckim i innym prasowym ośrodkom niearyjskim na całym globie, kiedy hitlerowcami straszą sąsiadów i nie sąsiadów, a jako ratunek zalecają... pokojowe usposobienie niemieckiej „demokracji".

Hitleryzm całym f r o n t e m zwrócony jest w pierwszym rzędzie i w pierwszej fazie nie tyle przeciw narodom i krajom aryjskim, a (na razie w każdym razie) głównie przeciw wewnętrznej mniejszości, jako koeficiantowi kapitalizmu banków, lichwiarzy i giełd. Dr. Hans Buchner w swojej książeczce tłumaczy to jasno i wyraźnie, odgradzając się równocześnie najstanowczej od wulgarnego i safandulskiego antysemityzmu z przed wojny i z przed r. 1925. Kapitalizm giełdowo-bankowy jest nietwórczy, pasożytniczy, destruktywny i korruptywny. Choruje przeto, bo zbyt obciążony nie aryjskiemi „elemętami", które go dyskredytują i ciągną w przepaść. Trzeba go tedy przenicować, przeczyścić gruntownie, unowocześnić, uzdrowić i ratować, jak również należy ratować etykę i moralność chrześcijańskich narodów przed doszczętnem zakażeniem materjalistycznym cynizmem.

Faszyzm swej roli nie spełnił dostatecznie, gdyż pozwolił na penetrację żywiołów nie aryjskich. Wyzwolenie pełne z pod tych wpływów przypaść ma tedy jako rola, jako misja historyczna, jako nowy mesjanizm, rasowo czystym i rasowo świadomym Germanom. Broszurę H. Buchnera, należałoby jaknajszybciej tłumaczyć na polski, aby zdać sobie dokładniej sprawę z szerzących się dziś, jak pożaru nowych idej i nowych poglądów na naszą granicę zachodnią.

W tej to broszurze jest też ustęp, będący namiętną i piękną apoteozą... Swastyki.

Nie jest bowiem niczem innem t. zw. *Hakenkreuz*, jak właśnie starohinduską swastyką. Prastare słowo sanskryckie: *swasti* oznacza: zbawienie, szczęście, błogostan. I rzecz dość frapująca, że ten sam emblemat swastyki, który hitlerowcy umieszczają aż do niemożliwości często-gęsto na swoich sztandarach, mundurach, ramionach koszul bronzowych itp..., ten sam teraz tu ówdzie pojawia się w dalekich, olbrzymich rzeszach wielbicieli... Gandhiego, rewoltujących się przeciw podobno straszliwie zsemityzowanej W. Brytanji...

W innej znowu broszurze niemieckiej jest pouczająca historja i geneza tej swastyki, będąca zresztą zwięzłem streszczeniem całego szeregu poważnych, różnojęzycznych prac historycznych specjalnych badaczy: Wilsona, Gaidosa, Monteliusa, de Mana. Okazuje się, że to godło, dziś noszone z dumą przez kilkanaście już miljonów młodszych i starszych Środkowo - Europejczyków, to godło jest jednym z najstarszych emblematów, znaczków, signów ludzkości, najstarszem i najbardziej rozpowszechnionem na kuli ziemskiej, nie tylko u narodów indoeuropejskich i nie tylko w rasie białej. Poprzednio myślano, że najstarsze dowody istnienia swastyki są w wykopaliskach assyryjskich z 9 wieku przed Chrystusem, jako ozdoby na szyje Królów, zresztą obok Krzyżów w kole. Dopiero późniejsze badania wykazały, że swastyka była w Chinach, była w Troji Frackiej, u Japończyków, w Egipcie, w Persji, nawet u Inkasów w Peru, więcej jeszcze: już była ryta w głazach z epoki kamiennej (?). Łącznie z mitologjami starożytnemi, swastyka mieściła się w kole może wozu słońca (Febusa) może też samo koło symbolizowało dobroczynną potęgę słońca. Za pierwszych początków Chrystjanizmu swastykę spotyka się często obok Krzyża lub inicjałów Chrystusowych „X“ i „P w X” w katakumbach. Sama zaś forma krzyża w tych pierwszych czasach była jeszcze nie ustalona, gdyż była *crux conmissa* T i potem *crux inmissa* +; ten drugi krzyż był grecki, poczem dopiero przyszedł krzyż obecny, rzymski †, wreszcie podwójny bizantyjski i lotaryński, potem westgocki, ostgocki, maltański. Swastyka jako emblement i rycerskie godło przeniosła się do Galji, Brytanji, do normanów skandynawskich, gdzie bardzo liczne jej ślady w runach, na łukach, mieczach, toporach. Starzy pogańscy czciciele Wodana, Germanowie, w zamierzchłem średniowieczu dają swastykę jako najbardziej swój emblem w noszonych ozdobach, na broni, na grobowcach. Swastyka staje się ukochanem symbolicznem godłem pragermanów. Tu trzeba atoli przypomnieć, że i słowiańscy Wendowie (u Słowackiego: Wenedowie) swastyki hinduskiej używali często jako swego godła. Wogóle zaś Hyperboreje, wszyscy z zimnego klimatu, więc oczywiście specjalnie czczący boskość słońca; Frankowie swastykę umieszczali na swoich monetach.

Nie tylko więc sami wyłącznie czciciele Wodana, ale i Gallowie i Słowianie.

W pewnym momencie chcieli się też do Swastyki przypytać oczywiście i ci, przeciw którym obecnie to godło jest zwrócone. Przypomniano więc Assyryjczyków i postawiono tezę, że swastyka to przecież całkiem to samo, co hebrajska litera: *Alef.* Ale potem się opamiętano i dano za wygraną z akkaparowaniem także i tego. Obecnie już *Hakenkreuz* (holenderski: *hakonkruis* szwedzki: *hagekors* frankońskie: *croix gammée*) uchodzi w tej rasie za coś bardzo groźnego.

W Sowietach swastyka jest bardzo surowo zakazana i na afiszach, i ogłoszeniach, i nawet jako motyw dekoracyjny, ornamentacyjny...

Opublikowany w „*Izwiestjach*“ rozkaz komisarza oświaty Łunaczarskiego brzmiał jak następuje:

„Na wielu dekoracjach świątecznych—i plakatach, rozlepianych z powodu ostatnich uroczystości rewolucyjnych, jak również wogóle na ogłoszeniach wszelkiego rodzaju, używany jest często ostatniemi czasy, przez nieporozumienie, ornament pod postacią krzyża haczykowatego i przedstawia się, jak następuje (tu umieszczono rysunek swastyki).

Ponieważ zaś taki krzyż haczykowaty jest emblematem skrajnie przeciwrewolucyjnego stowarzyszenia niemieckiego *Orgesch*'u i przybiera wogóle charaktner emblematu powszechnego ruchu faszystów — przeto ostrzegam niniejszem, aby artyści pod żadnym pozorem nie używali tego ornamentu“.

Emblematem bolszewickim pozostaje nadal, jak od początku, pięcioramienna gwiazda Dawidowa.

Sowiety wiedzą przynajmniej pod jakiemi sztandarami pragną walczyć, Niemcom socjalizm narodowy wskazuje na swastykę, ze słowami „*in hoc signo vinces*“. My zaś, dzisiejsza Polska „sanacyjna“, ze swą biedną ideologją „państwowościową“ jednym i drugim, co możemy na serjo przeciwstawić?

Czy my więc nadal ziarno między dwoma, zbliżającemi się kamieniami? Czy gliniany garnek między dwoma żelaznemi?

ADOLF NOWACZYŃSKI

KAWAŁEK MŁODEGO RENEGATA

(TROCHĘ O PACYFIZMIE I PACYFISTACH)

JEST w Krakowie, prócz Zawodowego Związku Literatów, t. zw. Klub Literacki, który się naprzód wieszał przy Szukalskim, skoro jednak Szukalski, ekscentryczny bo ekscentryczny, ale pierwszej klasy tęgość, talent i zadzierzysty przytem człowiek, jakoś prędko połapał się w tej mizerji, kilkunastu młodzików poszło dalej, już swemi własnemi tory. A jest w tym Klubie (czy był w każdym razie) p. Marjan Piechal, z miasta Łodzi, który w tamecznem pisemku „Prądy“ taki pod takim tytułem ogłasza wytwór... „poetycki“: „Pochwała Niemców“: „..Do Was Niemców we Flandrji rozbitych na miazgę, w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym, do Was wołam i bohaterami Was nazwę, Was, którzyście się wyrzekli wojny i dynastji... (?!). Odebrali Wam Śląsk (sic!), Lotaryngję i Alzację, a na pozostałym skrawku się rozpiera nędza tucząca inne nacje (!) i Waszego rodzimego bankiera. Odebrali Wam kolonje, niby dla świata niezbędne śpichrze, a teraz zboże z tych kolonij, bawełna i ryż są palone, a u Was głodni chodzą, nadzy na wichrze i jeszcze kontrybucje każą Wam płacić za winy niepopełnione... (!)“ itd. w tym samym stylu stękającej prozy. — To jest kawałek, który się należy ustalić wprost jako renegacki, *sensu stricto.* Bo nie o to idzie, że ten Piechal jest pacyfistą (ogłosił jakieś wywiady o pacyfiźmie przed 2-ma lub 3-ma laty, z przedmową jakiegoś bolszewizanta, który, nawiasem powiedzmy, wyśmiał się z całego „burżuazyjnego“, inteligenckiego pacyfizmu Słonimskich *e tutti quanti*), nie o to, powtórzmy, idzie, bo w końcu, jeżeli najbliższa wojna, straszliwa jak żadna inna, nieść będzie z sobą ogromne zniszczenia, to któżby chciał „woj-

ny dla wojny"?! Nie o to nawet idzie, że pacyfizm naiwnemi nieraz i, rzeknijmy tak, bodajże idjotycznemi sposobami zabiera się do swego dzieła, skoro mniema, że najlepszym do pokoju środkiem jest na każdym kroku ustępować i cofać się przed najstraszliwszymi wrogami pokoju świata, — nie o to nam idzie, bo, cóż robić, „i głupota jest darem bożym", jak mawiał pewien bogobojny i doświadczony pedagog... Idzie o to kompletne wysforowanie się takiego osobnika z solidarności uczuć i instynktów samozachowawczych narodu, wysforowanie się idące tak daleko, że nawet przeistacza temu „pacyfiście" całą niewątpliwą rzeczywistość niemiecką, tę rzeczywistość, jakże głęboko i gwałtownie antypacyfistyczną. Wyobrazić sobie młodzieńca tak pokojowo usposobionego, że przeciw własnej („Śląsk odebrali") ojczyźnie i jej naturalnemu sprzymierzeńcowi („tuczące się nacje") rozgrzesza wszystkie łajdactwa Kajzera i jego lancknechtów („winy nie popełnione")! Ale w końcu nie idzie tu o taką mizerję umysłową, tylko o to, że ten Marjan Piechel i jemu podobni powinni zostać dokładnie i bez ceregieli z pośród porządnego towarzystwa wyobcowani. *Ad memoriam.*

Jest, przyznajmy, pewien pacyfizm, dla którego z najbardziej objektywnego, najogólniej ludzkiego punktu widzenia, można mieć respekt jakiś: to jest pacyfizm, który się będzie pod mur stawiało w pierwszym dniu mobilizacji. To trudno, jeśli ktoś chce wskoczyć jednym skokiem, odrazu, w całkiem inną rzeczywistość, ten ryzykuje, że rzeczywistość aktualna, pod grozą swego rozstroju, usunie go z pośród siebie. Właśnie czytałem niedawno broszurkę p. t. „Przebój" (*Der Durchbruch, Studie über Kriegsdienstverweigerung u. die Internationale der Kriegsdienstgegner von H. Runham Bram, 1930, War Resisters International, 11 Abbey Road, Infield, Middlesex, England)* gdzie ogłaszają, że przeciwnicy wojny *(War-resisters)*, „nie pokoju chcą, ale rewolucji, rewolucji ducha, która wprowadzi nowy porządek społeczny i nowy świat stworzy, w którym wszyscy pracować będą wspólnie dla wspólnego dobra..." *War resisters* chcą się „nie łagodnie sprzeciwiać, ale stawiać twardy opór". No tak, jeśli znajdą się tacy odważni, to będą jaknajrychlej unieszkodliwieni, ale z respektem, na jaki zasługuje zawsze i wszędzie odwaga i ofiara, więc nie stryczkiem, tylko kulą. Ale ci *„war-resisters"* składają się nie z samych bohaterów; wyraźnie powiadają, że „zależy nam nietylko na tem, żeby być podporą męczenników i jednoczyć tych, którzy mają dosyć odwagi, żeby się samemu i osobiście opierać służbie wojskowej, lecz walczymy też o t. zw. tchórzów, mniej wartościowych i tępych *(Niedrige u. Stumme)*, którzy kochają piękno życia..." (!) Otóż to: jeśli się nieszczęściem znajdą rewolucyjni pacyfiści, to będzie ich tak niewielu w każdym razie, że się zdoła ich zlikwidować gładko. Ale zato wraz z propagandą pacyfistyczną, któraby się zdołała dostać do instynktów masy, całe nikczemne tchórzostwo znajdzie wykręt i „moralne oparcie" w pacyfiźmie. Ten, co wzywa żołnierza, by „rzucił karabin o bruk ulicy", sam tego karabinu nie rzuci, — i nie da tym sposobem okazji do zlikwidowania siebie!—ale się „zadekuje" dobrze na kwaterze prasowej, skąd pisać będzie „militarnie" i „państwowo" — ale za to jego sugestje rozzuchwalą dekierów i sabotażystów biernych, skrytych, tchórzliwych. To jest cała nikczemność tego „pacyfizmu", który nie jest ani godnym pacyfizmem realnej myśli o uniknięciu wojen zbędnych [1]), ani pacyfizmem desperackim rewolucjonistów pokoju, którzy się oderwali od rzeczywistości, ale pacyfizmem, który jest biernem rozbrojeniem się instynktów solidarności z narodem i nienawiści do najeźdźców. I tej sorty pacyfizm jest niebezpieczniejszy od rewolucyjnego, bo nie z zewnątrz jawnie i śmiele atakuje, ale od wewnątrz, skrycie, niewidzialnie, czepia się, zakaża i toczy, jak bakcyl trądu, toczy samą nerwową wytrzymałość.

Nie dziwię się, i powiem nawet, nie gorszę, kiedy p. A. Słonimski jest bardzo zniechęcony widokiem świata, który się spiera, kłóci, awanturuje i walczy o swoje ojczyzny. Nie gorszę się tem, to znaczy, nie odnoszę tego zniechęcenia do pobudek nikczemnych, bo rozumiem socjologiczną sytuację Słonimskiego. To jest zupełnie jasne, że jeśli się nie należy do żadnej z ojczyzn, to ten niewątpliwy rozgardjasz świata — (rozgardjasz, któremu nie przeczy, owszem dobitnie go podkreśla taki nacjonalista, z *„Action Fr."*, jak Réné Johannet!)—może być nietylko niewygodny, nietylko smutny, ale wprost wstrętny. Człowiek czujący się z dumą członkiem „rasy starszej niż Forum Romanum", która się rozlała po całym globie i niema własnej ziemi, żyje w całkiem innej rzeczywistości — rzeczywistości, która *sub specie aeterni* może mieć swoją godność, nie przeczę, ale która tymczasem, tu, w tej naszej rzeczywistości narodu, w. ziemię wrosłego i mającego do stracenia ni mniej ni więcej tylko tę swoją ziemię, swój grunt pod nogami, działać musi dezolująco, rozkładowo, śmiertelnie. Ja chcę ufać, że Słonimski, przesadzony do *Erec Izrael*, potrafiłby być lwem machabejskim, ale tutaj nie ma on widać żadnej wewnętrznej motywacji do działań lwa, ale raczej do działań bakcyla niebezpiecznego i szkodliwego, widać nie może inaczej. Dlatego, bez insynuowania mu, że jest czarnym charakterem i wogóle bez żadnego poszturchiwania, chciałbym psychikę społeczeństwa gruntownie dezynfekować od jego suggestyj i wpływów i zgoła separować ją od takich pism i osób. Jakkolwiekbądź, cenię go bezsprzecznie wyżej, niźli tego słowika błazenkowatego, kryjącego się przed należną za te pacyfistyczne impertynencje karą poza szwoleżerskie plecy (jeszcze jeden dziejowy paradoks!), Tuwima—i nieskończenie wyżej, niż takiego młodzieńca o polsko-chłopskiem nazwisku, który się wyprał i wyjałowił ze zdrowych i sprawiedliwych instynktów polskich i chłopskich, instynktów obrony ziemi i nienawiści do tych, co ziemi naszej grozili i grożą. Wyjałowił się z tych instynktów i do tego z przewrotną smarkaterją tem się popisuje.

Wracając do tego przykrego Piechala, wypada jeszcze żałować, że Instytut Popierania Twórczości Literackiej, który wydał jego wiersze, zanim kogoś subwencjonuje, nie dowie się wprzód, co za jeden.

Zakopane. KAROL LUDWIK KONIŃSKI

---

[1]) Naturalnie nie jest zbędną, owszem, niezbędną jest wojna, która w sam czas uprzedza inną, o wiele groźniejszą i w warunkach o wiele gorszych! To trzeba było odrazu — i zwłaszcza w obecnej chwili — dla uniknięcia dwuznaczności zaznaczyć.

NA WIDOWNI

Żydzi a Prawda — Przed wiekami i dziś — Drobne przykłady — Asymilacja Polaków, przejmujących żydowski sposób myślenia.

PROFESOR Tadeusz Zieliński, w dziele swem „Hellenizm a judaizm“,[1]) stwierdza, że „uwielbienie prawdy, jako prawdy, bezinteresowne zaciekawienie się nią, utworzyło w Helladzie naukę“ i zapytuje jednocześnie, „czy to ubóstwienie prawdy... było cechą judejskiej umysłowości również?“ Odpowiedź wypada przecząco: „nie znajdujemy go w Palestynie“, prof. Zieliński zgodny jest całkowicie z przytaczaną przez siebie opinją Hölschera, iż „prawdomówność *(Wahrhaftigkeit)* jako cnota etycznego samostwierdzenia osobistości, nie znajduje się w literaturze wyznawców Jehowy przed czasami hellenistycznemi“.

Nie tu miejsce na rozważania, w jakim stopniu na rozwój prawdomówności, jako wyrazu godności osobistej człowieka, wpłynęło chrześcijaństwo, które przez ideę Odkupienia podniosło dostojność moralną jednostki ludzkiej na nieznaną światu starożytnemu wyżynę. W każdym razie faktem jest znamiennym, iż prześladowani chrześcijanie woleli raczej wystawić się na największe niebezpieczeństwo, aniżeli zdecydować się na kompromis: nieszczere, zewnętrzne wykonywanie praktyk kultu pogańskiego przy równoczesnem zachowywaniu „w duszy“ wierności dla swojej religji. I to także jest rzeczą godną uwagi, że gdy po kilkunastu wiekach, prześladowane żydostwo znalazło się przed podobnem zupełnie zagadnieniem, powstał w niem masowy ruch t. zw. marranów (żydów chrzczonych), którzy „poddawali się przymusowi (Anuasim) i byli chrześcijanami jedynie pozornie, żyli przytem jak żydzi, przestrzegali praw i przepisów religji żydowskiej“.[2])

Cokolwiek możnaby zresztą mówić na temat stuleci minionych, rozejrzenie w doświadczeniach chwili bieżącej niewątpliwie skłaniać musi do wniosku, że w psychice żyda stosunek do prawdy kształtuje się w sposób odmienny całkiem, niż obowiązujący wśród narodów naszej cywilizacji, i że poczucie godności własnej, nakazujące rzetelność w odniesieniu do prawdy jako pierwszy warunek honoru, dla duszy żydowskiej wydaje się czemś poprostu pozbawionem treści, niezrozumiałem, egzotycznem. Lektura pisarzy czy publicystów żydowskich dostarcza na poparcie tej tezy wielce pouczającego materjału. Daje ona zarazem odpowiedź na pytanie, czemu dyskusja czy polemika z żydami, pojmowana jako wspólne dążenie stron, spór wiodących, do wyświetlenia prawdy, jest rzeczą i niecelową zgoła i poprostu niemożliwą.

Z pośród mnóstwa przykładów w tym względzie, jakie dzień za dniem gromadzi, warto przytoczyć tutaj, jedynie jako ilustrację, następujący charakterystyczny drobiazg. „Gazeta Warszawska“ ogłosiła niedawno (16.I. r. b.) artykuł p. t. „Wyroki wileńskie“, w którym, między innemi, zwróciła uwagę, iż pożyteczną byłoby rzeczą, zarówno dla celów naukowych jak praktycznych, statystyczne zestawianie ilości oskarżonych i skazanych sądownie żydów i chrześcijan. Dla uzasadnienia tego projektu „Gazeta“ przypomniała kilka cyfr, istotnie rewelacyjnych, cytowanych w swoim czasie przez Andrzeja Niemojewskiego w jego głośnej broszurze „Etyka Talmudu“.

W odpowiedzi, w syjonistycznym „Naszym Przeglądzie“ (18.I. r. b.) pojawił się artykuł p. S. H. (Samuela Hirszhorna), zawierający następujące słowa:

„Wreszcie jeszcze jedno. Organ endecki, pragnąc stworzyć nową legendę o „zbrodniczości“ żydowskiej, przytacza osławioną „statystykę“ żydożercy Andrzeja Niemojewskiego, stokroć obaloną“.

W rzeczywistości, przytaczane cyfry nie były wogóle zbierane przez Andrzeja Niemojewskiego, ale tylko zacytowane przezeń z publikacji S. Rossowa, p. t. „Kwestja żydowska“, który znowuż opierał się na danych statystycznych b. okręgu sądowego warszawskiego (obejmującego dziesięć guberinij b. Królestwa Kongresowego), z lat 1876 — 1886. P. Hirszhorn nie poinformował się nawet w pośpiechu, o co chodzi, ale to nie powstrzymało go ani na chwilę od soczystego wyrażenia: „osławiona „statystyka““ (ah, jak zabójczo ironiczne są takie cudzysłowy!) i od wydrukowania czarno na białem, z nieporównaną pewnością siebie, że statystyka ta jest „stokroć obaloną“. Kiedy mianowicie „obaloną“? Przez kogo? W jakiż sposób „obala“ się tak cyfry, zestawione na podstawie oficjalnych akt sądowych? Wydawałoby się, że taki p. Hirszhorn, czołowy publicysta obozu żydowskiego, będzie przecie sam się trochę szanował, będzie dbał o minimalny choćby stopień rzetelności swoich wystąpień. Nic z tego: wystarczy, iż stwierdzenie faktu jest nieprzyjemne dla żydostwa, a już p. Hirszhorn pisze swoje: „stokrotnie obaloną“, pisze lekko, swobodnie, bez wysiłku, widać, że nic go to we własnych oczach nie poniża, nic pod względem moralnym nie kosztuje...[3])

Dlaczego na ten rys psychiki żydowskiej pożyteczne jest zwrócić baczniejszą uwagę? Ponieważ pod tym względem właśnie, w tych środowiskach politycznych polskich, w których współżycie z żywiołem żydowskim było i jest ścisłe (zarówno w dziedzinie towarzyskiej jak umysłowej), ten żydowski stosunek do prawdy upowszechnia się w sposób nader niebezpieczny, także u rodowitych Polaków. Dosyć głośna była ostatnio przygoda pos. Żuławskiego (P.P.S.), uzasadniającego wniosek o *votum* nieufności dla rządu, warto wszakże zwrócić uwagę na inne, nader charakterystyczne zdarzenie, które podczas tegoż przemówienia miało miejsce. Oto wyjątek ze sprawozdania sejmowego, drukowanego w „Gazecie Warszawskiej“ dn. 21 b. m.:

---

[1]) Tadeusz Zieliński, prof. Uniwersytetu Warszawskiego: „Hellenizm a judaizm“, część I, Warszawa, 1927, str. 107 — 109.

[2]) M. Kayserling, „Christoph Columbus“ cytowany przez W. Sombarta, „Żydzi i życie gospodarcze“, przekład polski. Warszawa, 1913, str. 192.

[3]) Przy sposobności warto już przypomnieć owe cyfry, cytowane przez Niemojewskiego w „Etyce Talmudu“ (Warszawa 1917, str. 14): „Wedle tych danych na 1000 przestępców

1) w sprawach o przywłaszczenie i defraudację było żydów	587
2) w sprawach o bandytyzm	652
3) o fałszerstwo i oszustwo	789
4) o paserstwo	797
5) o jawne zabójstwo (tylko)	111
6) o trucicielstwo	824
7) o krzywoprzysięstwo i fałszywą denuncjację	862
8) o sztuczne bankructwo	921
9) o handel żywym towarem	937
10) o podrabianie pieniędzy	946“

P. Żuławski... wspomina o sprawie Orlika przeciw p. Lisowskiemu, którego ten szef bezpieczeństwa publicznego miał nająć do napadu na lokal Związku Narodowego i nie zapłacił, schowawszy się za niemoralną umowę (głos w BB: bajeczka)".

Ten „głos w BB" jest naprawdę bardzo znamienny. Po skardze i po sprawie sądowej Orlika, która odbyła się dn. 9 i 10 kwietnia r. ub. w Warszawie, po jego pamiętnych zeznaniach na procesie, po wyroku sądu wreszcie, który oddalił powództwo Orlika, domagającego się obiecanej zapłaty, ponieważ „w myśl art. 1131 K. C. zobowiązania o przyczynie niegodziwej nie mogą mieć żadnych skutków" — trzeba było mieć istotnie... judejski stosunek moralny do prawdy, żeby tak z własnej i nieprzymuszonej woli, tak swobodnie, z takim brakiem skrupułów sumienia wrzasnąć sobie na cały głos, nie spuszczając oczu: „bajeczka"... Gdybyż jeszcze można było mieć pewność, że wspomniany tu „głos w BB" wydobył się z ust posła Wiślickiego albo Jaegera!.. Ale BB jest pod względem moralnym takim monolitem, że i polskich kolegów klubowych pp. Wiślickiego i Jaegera również stać było w zupełności na tego rodzaju wystąpienie...

Przyzwyczajani codziennie do podobnych drobiazgów, coraz mniej już zdajemy sobie sprawę, jak głęboko to żydowskie lekceważenie prawdy, ten brak wstydu w kłamstwie w żywe oczy, traktowanem jako „posunięcie taktyczne", przeżera i znieprawia całe nasze życie publiczne, jak zaostrza walki i nienawiści partyjne, jak usuwa wszelką rzeczową dyskusję, uniemożliwia wszelkie uczciwe porozumienie. Niczem ziarnko piasku pod powieką, ten żydowski wpływ drażni tylko ustawicznie coraz boleśniej, nie pozwala widzieć wyraźnie tego, co dzieje się dookoła. Przemyjmy oczy...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

SYMPATJA OPINJI KOLEJNEMI ODRUCHAMI zwraca się, w miarę następstwa zdarzeń, ku coraz nowym poszkodowanym. Śpieszy więc naprzemian ku zredukowanym, napadniętym znikłym, skazanym. Współczucie innego rodzaju, stałe, a coraz głębsze, budzić musi w dzisiejszych warunkach los — Państwa. Naprawdę, nieszczególnie powodzi mu się w ostatnich czasach. Przedewszystkiem rozdwoiła mu się bardzo przykro osobowość. Nie jest pewne swego imienia. Ściślej mówiąc, ktoś inny od dłuższego czasu chodzi za jego paszportem. Jako tytuł podaje, że umie wygrać w każdych wyborach. Ono — dalej uważa za niewłaściwe, że jego imieniem przedstawia się—jakaś partja. Irytuje się, że takie bezsilne. Obywatelom jego odebrano poczucie śmieszności, a z niem — najlepsze *antidotum* na frazes „państwowy". Chciałoby być mocarstwowe, ma tylko „mocarstwowców". Wciąż dziwno mu, że „państwowe", — w języku polityki potocznej znaczy: — wymierzone przeciw nieprzyjaciołom politycznym. Nie najmniej mu to przykre, że materjalnie tak źle stoi. Drażni je wiwatny wrzask: „wszystko dla państwa" — program, po którym niczego spodziewać się nie może, nawet upaństwowienia własności prywatnej na wzór bolszewicki. A to przecież tylko jedna ze skromniejszych obietnic, zawartych w haśle tak pojemnem... Oczywiście państwo program ten bierze nie więcej serjo, niż ci, co go głoszą. Wychowanemu w tradycjach ojczystych i europejskich, nie zależy wcale na nadmiernem rozszerzanie swej kompetencji, chciałoby raczej ograniczyć kult własny. Ale tem mocniej razi je fałsz skrajnego hasła... Z przyjemnością, bądźmy tego pewni, widziałoby poszanowanie praw obywatelskich. Ale jego naturalna troska zwraca się najpierw do własnego ustroju. Nie wie dobrze, jaki ma. Konstytucję interpretują mu raz po raz w sposób niespodziewany. Przyrzeczono mu „poprawę ustroju". Zdezorjentowane, czeka. Antyszambruje od lat pięciu. Biedny petent.

MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH PIERACKI ZASKOCZYŁ OPINJĘ oświadczeniem, złożonem na komisji budżetowej sejmu. Przedmiotem jego *exposé* była, jak pisał „Express Poranny" z dn. 17 stycznia, „pomyślność wszystkich plemion, żyjących w ramach wyzwolonej Polski". Minister wyłuszczył zasady kierownicze, na których organizować się ma ta pomyślność. Najwięcej ucieszyło się z nich z pewnością plemię Judy. Minister nie wspomniał o niem ani słowem, aczkolwiek mówił obszernie o polityce narodowościowej rządu. Możemy być pewni, że plemię nie wzięło mu za złe tej niepamięci. Minister Pieracki już w czasie dyskusji na plenum sejmu przed dwoma miesiącami, gdy umysły zajęte były sprawą powstania akademików przeciw zalewowi żydowskiemu na wyższych uczelniach, dał się poznać, jako orędownik znanego poglądu, że rozwiązaniem sprawy żydowskiej w Polsce jest zaprzeczenie jej istnienia. „Plemię" polskie dowiedziało się z *exposé* przedewszystkiem o nowotworze, którego nieświadomie nosiło w swem łonie. Jest nim „największe i najsilniejsze z pośród wszystkich ugrupowań (politycznych), które potrafiło skupić wokół siebie większość społeczeństwa". O wiele mniej ździwiło się oświadczeniem: „Obecny układ sił politycznych powoduje, że przeważająca ilość tych stałych punktów styczności administracji z poszczególnemi stronnictwami" — przypaść musi właśnie na grupę określoną, jak wyżej. „Nie daje to jednak"—zaznaczył dalej minister — „żadnej podstawy do wysnuwania wniosku i stawiania zarzutu podporządkowania się administracji jednej partji..." Cokolwiekby o tem sądzić, niebezpodstawny będzie zarzut, że w administracji ucierpiała cokolwiek—polszczyzna. Ale wróćmy do nowin politycznych. Oto administracja „dąży i dążyć musi do współdziałania w najszerszym zakresie z całą ludnością kraju, bez względu na jej przekonania polityczne". Tak. Inaczej — „nie stałaby na wysokości swego zadania". Dążyć „musi", ale i obecnie już „dąży". Dobrze, gdy wyjaśnia te rzeczy z trybuny sejmowej instancja bezstronna. Inaczej — mogłyby być łacno zapoznane. Jakież nieporozumienie niepotrzebnie dzieliłoby dalej społeczeństwo!

ZA MAŁO BYLIŚMY DEMOKRATYCZNI. I to zło, zgodnie z oświadczeniem ministra Pierackiego, ma być naprawione. „Podkreślam" — mówił — „zasadę równości praw i obowiązków, ponieważ winna ona stać się podstawą systemu obywatelskiego myślenia i odczuwania..." Surowe napomnienie, które winno chyba zachęcić społeczeństwo do rachunku sumienia. Czy wzięło

dostatecznie do serca zasadę równości wszystkich wobec prawa, której symbolem stały się rządy pomajowe?

Czy odznacza się szczerem zamiłowaniem praworządności, — czy też przykład po temu daremnie szedł z góry? Nie poprzestając na poruszenie sumień, minister sformułował nową zasadę. „W państwie demokratycznem“ — obwieścił, a na myśli miał państwo nasze — „wolno każdemu obywatelowi swobodnie myśleć, sądzić i działać, pod warunkiem, iż będzie uczył i bronił swoich poglądów rozumem“...!! Znów rozstrój polszczyzny, widać nieodłączny od usprawnienia naszej administracji, — ale jakaż racjonalna zasada: bronić swoich poglądów rozumem! A nie gwałtem. Wzór tak światłego demokratyzmu dają nam znów bezwątpienia czynniki, dziś będące u władzy... Ta ostatnia część *exposé* zwrócona była do plemienia „ukraińskiego“ w naszych południowo-wschodnich województwach. Tu od słów ministra—że zacytujemy znów „Express Poranny“ — „powiało nietylko odrodzeniem państwowem, powiało — odrodzeniem moralnem“. Jak wzniosły był ton w tej części *exposé*, niech zaświadczy przykładowo urywek: „Szkoły dwujęzyczne, wprowadzone w swoim czasie na miejsce zamkniętych szkół polskich i ukraińskich, w programie nauczania uwzględniają porówno języki polski i ukraiński, wobec czego dzieci ukraińskie nie zostały przez to pozbawione możności uczenia się w języku macierzystym“. Z równą słusznością powiedzieć można, że — dzieci polskie nie zostały przez to pozbawione możności uczenia się w języku macierzystym. Z jaką dumą myśli się o tem, że rząd polski nie odebrał im tej możności w polskiem państwie!

NAUKA I LITERATURA

KSIĄŻKA O ASNYKU

„SZKODA piosnek, których nie ma kto słuchać“ — żalił się Adam Asnyk, jeszcze słuchany — i jak słuchany— w r. 1868. Aż i jego piosnki spotkał los — ten najsmutniejszy: stały się niczem muszle, nieme. I trzeba dopiero konchę przybliżyć do ucha, by pochwycić głos morza.

Wiersze Asnyka, jeszcze dziś tu i owdzie cytowane, jeszcze nieraz zabiegające nam drogę daleką, znajomą melodją, zamknięte na siedem pieczęci w wydaniach zbiorowych poety, są coraz mniej tem, czem były. Są już tylko „dla szkoły“. Są to — jak mówimy—wiersze wczorajsze.

Takiemu stanowi rzeczy winna jest potrosze historja literatury, która zaniedbała wskazać w żywym Asnyku, co jest w nim żywe do dziś. „Jeden z najznakomitszych poetów, jakich wydała poezja polska w drugiej połowie XIX wieku“,— pozostał najznakomitszym poetą drugiej połowy XIX wieku, pochowanym z honorami na Skałce. Pozostał — w sarkofagu.

Zajrzyjmy do „Literatury“ G. Korbuta: na marginesie twórczości Asnyka wyrosło wiele rozpraw, nieraz bardzo cennych, rozprawek, komentarzy, a przecież dotąd ciągle — „monografji brak“. Dług, zaciągnięty wobec pamięci „najznakomitszego“... i t.d. jeszcze czeka — niespłacony.

Najnowsza książka o poecie, publikacja prof. Kazimierza Wóycickiego „Asnyk wśród prądów epoki“, monografją nie jest i być nie miała. Miała monografję poprzedzić. Jest tem, czem ją autor nazwał w podtytule: przynosi „materjały i opracowania“, przynosi nadto „próbę bibljografji pism Asnyka“. I dlatego, być może, brakło dotychczas syntetycznego dzieła o poecie. Brakło bowiem dotychczas zarówno owych materjałów i opracowań, jak i nieocenionej—powiedzmy odrazu — bibljografji prof. Wóycickiego. Okazały tom, który leży przed nami, prostuje zawiłe i kręte ścieżki przyszłego monografisty. Czy wolno go oczekiwać w samym autorze?

Posłuchajmy pierwszych słów przedmowy: „Dotychczasowe badania twórczości Asnyka nie uwzględniły w szerszej mierze życia społecznego, umysłowego, artystycznego epoki, z którem poeta był silniej związany, niżby się to napozór wydawać mogło. Zapoczątkować te leżące odłogiem studja usiłuje niniejsza praca odtwarzająca na podstawie dokumentów dzieje stosunku Asnyka poety, myśliciela, działacza do prądów, nurtujących przekształcające się gwałtownie społeczeństwo czasów popowstaniowych“.

Tak wygląda, określony słowami autora, jego punkt wyjścia i naukowy zamiar. Metodycznie dzieło prof. Wóycickiego przypomina jego książkę ostatnią: cz. I „Walki na Parnasie i o Parnas“. Zresztą przedmowa te dwie publikacje łączy wyraźnie. Metoda owa polega na tem, że autor jaknajmniej radby powiedzieć od siebie, kryje się za tamtoczesną opinją. Pełnemi garściami rozrzuca przed czytelnikiem teksty, sądy, oceny, wydobyte z roczników starych pism codziennych i perjodycznych, cytuje całemi stronicami, czasom przywraca ich słowo własne, które zachowało nastrój dnia i niemal chwili; sam staje na uboczu, nie oświetla, lecz zbiera, nie komentuje, ale gromadzi. Ukazuje obraz, — że użyjemy słów cudzych (prof. Dembowskiego), — i usuwa się w cień.

Konstrukcyjnie „Asnyk wśród prądów epoki“—to pięć wyodrębnionych całości: Asnyk i pozytywiści warszawscy — Asnyk i Stańczycy — Asnyk i socjalizm galicyjski — trzy te rozdziały ukazują stosunek poety, który wszak był także politykiem i zaangażowanym czynnie publicystą, do przebiegów społecznych i politycznych epoki. Naświetlenia owe są bardzo interesujące, nietylko z uwagi na publiczną działalność dra Adama Asnyka (jak dziwnie rozlega się dzisiaj ów dr. A. Asnyk, ten sam, który skarżył się np: „Gdybym był młodszy, dziewczyno“...), — ale i dlatego, że możemy oto śledzić, w jakiej mierze na ocenę wartości artystycznych wpływały względy inne: poczucie recenzenta, że utalentowany poeta jest człowiekiem z innego obozu. Tedy się ostrzy nań pióro, żółcią zabarwia atrament i walczy swoiście, zależnie od kultury piszącego: kłonicą i krzykiem, lub ironją, przybraną w pozorne uznanie i przychylność. Poszukiwania autora wprowadzają czytelnika na przestrzeni tych pierwszych rozdziałów w ogień współczesnej polemiki, ukazując samo życie, w jego niezakrzepłym jednym kształcie.

Dwa rozdziały końcowe: Asnyk i Młoda Polska oraz Rys dziejów sławy poetyckiej Asnyka—lokalizują redaktora „Nowej Reformy“ w literaturze swego czasu i przynoszą wiele źródłowego materjału do historji opinij i ustosunkowań epoki.

Wśród dziejów popularności Asnyka zatrzymuje naszą uwagę drobny szczegół: wiersze innych poetów poczęte naśladowniczo, na marginesie liryków El...y'ego; prof. W. cytuje z tych stylizowań „Szkoda“ Laskowskiego oraz anonimowe z „Przeglądu Polskiego“: „Między nami nic nie było“. Niewątpliwie, echa takie, możnaby ciągnąć dłużej, z czego zresztą prof. Wóycicki zdaje sobie sprawę.

Niektóre wersety Asnyka uzyskały znaczną popularność, weszły do zasobów ogólnego słownictwa, jak przysłowie. Przedewszystkiem, owe wdzięczne „Między nami nic nie było“, przedrukowywane wielokrotnie, tłumaczone na obce języki, deklamowane, śpiewane, żywe do dzisiaj, ogłoszone po raz pierwszy w r. 1870, w „Dzienniku Literackim“. Powtórzył je w cudzysłowie chyba jeden z pierwszych Kraszewski w późniejszych „Morituri“ (wyd. Bibl. Nar. s. 171), a za nim inni, niezmużenie, niezmordowanie, w słowie i piśmie, aż do sielanki historycznej Jana Powalskiego, „Nad jeziorem“, 1921; mówi tu Jarost o swem uczuciu dla Nowojki: „... tylko jej mówienie, nie do mnie, było między nami, i więcej nic...“

Jeden jeszcze drobiazg z tego zakresu: czytelnik, który ma w pamięci znane Asnykowe „Bez granic", niechaj się zatrzyma na tych słowach „Murdeljona" Z. Kaczkowskiego (wyd. Bibl. Nar. s. 112): „... i wulkan i morze mają sobie ściśle, od natury naznaczone granice, poza które ani jednego pyłku wyrzucić nie mogą: serce ludzkie nie ma żadnych granic, serce ma tylko tę, którą sobie samo nada „naturę". Wszak to niemal to samo! Spójrzmy na daty. „Bez granic" z r. 1871. „Murdeljo" z r. 1852-53... Ale nie bądźmy zbyt pochopni w ustaleniu „źródła". Stanisław Wasylewski wskazał niedawno motyw podobny w pieśni odpustowej i... „Niespodziance" Rostworowskiego!

Bibljografja pism Asnyka, nazwana skromnie przez autora próbą, zdumiewa pietyzmem dla poety i żmudną wielością włożonego trudu. Ileż tu pieczołowitej troski w ustaleniu każdego szczegółu, daty pierwodruku, najdrobniejszej asnykowskiej pozycji. Prof. Wóycicki nie ograniczył się do publikacyj samego Asnyka; dał także materjały do bibljografij przekładów oraz kompozycyj muzycznych do słów poety. Poszukiwania te z natury rzeczy nie są, zdaje się, zamknięte.

Kilka uwag na marginesie owej bibljografji: „Nieznany wiersz Asnyka" z „Tyg. Ill.", 1929, drukowany już kilkakrotnie p. t. „Wcielenie", zrazu w „Nowej Reformie", w r. 1889, potem w wydaniach zbiorowych, znalazł się niedano w broszurze A. Pawłowskiego, Kazimierz Sosnowski, Warszawa, 1931 i tu potraktowany niesłusznie, jako rzecz nieznana.

List Asnyka do Fr. Vondracka w sprawie przekładu „Kiejstuta" ogłoszony niedawno w „Slavii", zacytował P. Grzegorczyk w „Bibl. Lit. Pol. za r. 1928". List Asnyka do J. Kotarbińskiego z r. 1902 jest we wspomnieniach L. Kotarbińskiej „Wokoło teatru", gdzie zachowano także garść innych asnykowskich okruchów, m. in. genezę prologu na otwarcie Nowego teatru w Krakowie. P. Kotarbińska radaby napisać o Asnyku obszernej i zapowiada poświęcony poecie szkic specjalny.

Pozatem, wśród przedruków, umieścić należy „Sonet polski" z Bibl. Nar., prof. Folkierskiego.

Książka Kazimierza Wóycickiego wyrosła ze szczytnego poczucia, które wyraził Norwid, zacytowany niedawno przez prof. Pigonia: „Drobiazgowość w rzeczach sądu wielkie imię ma — miłość".

Ta to właśnie miłosna drobiazgowość i pełen znawstwa pietyzm dla poety najlepiej legitymują dzieło o Asnyku: są zaleceniem książki i miarą jej wartości.

TADEUSZ MIKULSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Aleksander Czołowski, znany chlubnie historyk i archiwista, autor wielu źródłowych rozpraw i przyczynków, uczcił specjalną publikacją niedawne czterechsetlecie bitwy pod Obertynem. Pragnąc — jak pisze — przypomnieć najszerszym warstwom czytelników wiekopomne zwycięstwo, przygotował dr. Czołowski drugie wydanie pracy, ogłoszonej przed laty czterdziestu i życzliwie przyjętej przez krytykę naukową. Taka jest geneza estetycznie wydanej broszury p. t. „Bitwa pod Obertynem — 22 sierpnia 1531", Lwów, 1931. Wydanie to ukazuje się pomnożone licznemi uzupełnieniami, poddane troskliwiej historycznej korekcie. O sumienności metody naukowej autora daje należyte pojęcie wstępny przegląd źródeł, które posłużyły za podstawę wywodom dalszym. Wyzyskano tu wszelkie materjały i relacje, zarówno polskie jak rumuńskie i wołoskie, świadectwa kronikarskie, druki okolicznościowe, ryciny współczesne, plany i t. d. Na tem to tle kreśli A. Czołowski zarys wyprawy obertyńskiej, malując jej genezę, przebieg i trjumfalny powrót zwycięzcy.

Książeczkę zdobią piękne i stylowe reprodukcje, starannie wykonane.

Życzyć też należy publikacji zasłużonego autora pełnego sukcesu: niechaj rozniesie dookoła wieść dawnego zwycięstwa i sławy hetmańskiej Jana Tarnowskiego. (T. M.)

*

Przed dwoma czy trzema laty Dr. Zbigniew Grabowski omawiał obszernie na tem miejscu twórczość Jamesa Joyce'a. Było to jedno z pierwszych studjów polskich, odnoszących się do tego pisarza, dziś już znanego w Polsce szeroko, tłumaczonego i nad miarę może chwalonego. Bliższe zetknięcie się z Joycem nie pozostało bez wpływu w dorobku literackim młodego i uzdolnionego anglisty. Oto gdy po ogłoszeniu szeregu prac naukowych (o Conradzie, Stevensonie, Paterze etc.) i dobrych tłumaczeń (Kiplinga, Synge'a, Hemingway'a) pomyślał o napisaniu oryginalnej powieści (nakł. Wyd. Liter. Naukowego w Krakowie), odbiło się w niej coś z Joyce'a; z jego metody pisarskiej, a potrosze i z zakresu jego tematów. Bezpośredniość wypowiadania wrażeń doznanych— choćby były najbardziej wulgarne i brutalne, najbardziej chorobliwe, najbardziej przelotne i najbardziej intymne: ta może cecha najbardziej istotna. Nie jest to bowiem powieść w utartem tego słowa znaczeniu. Konstrukcja jest tu rzeczą drugorzędną, prawie zredukowaną do zera. Zamiast logiki faktów, na pierwszy plan wysuwają się luźne i wartkie skojarzenia myślowe, wywoływane byle okolicznością, byle przedmiotem w danej chwili napotkanym, czasem poprostu tylko analogją dźwiękową (gdy autor „woli" pisownię *lachrimae* zamiast *lacrimae*, bo mu to przypomina *chrysopraz* i *chromatykę*). Wiadomo, że rzeczy te miały już od wieków formalne i treściowe zastosowanie, w poezji, zwłaszcza lirycznej (stąd m. in. wyrósł rym w wierszu); w powieści są nowością — niewiadomo czy mogącą na dłużej się utrwalić. Jak Joyce, tak i Grabowski — choć na inny sposób — kreśli postać „bohatera naszych czasów", błąkającego się po ulissesowsku wśród manowców wszelakich, tułacza wśród ludzi, żądnego przystani. „Ciszy twojej i ciszy lasu!" takie tęskne wezwanie wypisał w tytule książki. Tęskne wezwanie czegoś — czego główna osoba powieści, młody Jerzy znaleźć nie może, bo nie umie, może nie chce. Wszak naprawdę w swych erotycznych przeżyciach poszukiwał on wszystkiego innego, tylko nie ciszy, a ciszę, która się doń wprost niejednokrotnie cisnęła, odrzucał czy omijał jakby umyślnie. Nietylko ciszę lasu, ale i ciszę serca własnego—co jest największem błogosławieństwem na ziemi — uzyskać można głównie dwiema drogami: przez ofiarność i prostotę. Obu zaś rzeczy brak temu zapatrzonemu w siebie „bohaterowi naszych czasów". Nie wypadki jakieś zewnętrzne, nie jakieś moce przeciwne, ale on sam sobie komplikuje sprawę, jakby szukał nie ciszy, ale właśnie — powieściowych wrażeń i zawikłań. Ma w sobie coś z Płoszowskiego, ale na podłożu nietyle estetyczno-filozoficznem, ile literackim. Tytuły i cytaty z książek sypią się tu jak z rogu obfitości. Literackim tematem są tu dla Jerzego również i kwestje tak ważne, jak Bóg i jego stosunek do świata. Dlatego w końcowym rozdziale jest imię Boga zjawiskiem trochę niespodzianem, zwłaszcza że osiągnięte na drodze niezupełnie właściwej. (J. B.)

*

W serji „opowieści biblijnych" (wyd. księg. Św. Wojciecha w Poznaniu), reprezentowanej dotychczas utworami M. Czeskiej - Mączyńskiej, S. Marciszewskiej - Posadzowej i Szczepana Jeleńskiego, ukazała się świeża powieść Henrietty Brey „Józef Ben Dawid". Tytuł niezupełnie trafnie dobrany. Należało go albo lepiej pozostawić w brzmieniu czysto hebrajskiem „Joszph ben Daud" albo też spolszczyć zupełnie, zgodnie z tradycją: „Józef z rodu Dawida". Nie wiemy, kto rzecz tę spolszczył, bo choć podane jest „słówko od tłumacza", jednakże nazwisko tłumacza zostało pominięte. A szkoda — bo chciałoby się pochwalć go „imiennie" i za przekład i za przedmowę. Treścią książeczki są dzieje Józefa, Opiekuna Chrystusowego. Ze skąpego materjału, jaki odnośnie do tych dziejów podają Ewangelje, autorka umiała zbudować wątek, w którym niema żadnych zmyśleń, odbiegających od tekstu ksiąg świętych. Przedstawiła człowieka cichego, prostego, pracowitego, który miał szczęście być świadkiem i obrońcą najdonioślejszych wydarzeń ludzkiego zbawienia. Książka, nie pozbawiona zalet literackich, napisana żywo, każdemu dostępna. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Octave Aubry, który anegdotycznym dziejom pierwszego i drugiego Cesarstwa, poświęcił kilka interesujących książek, w ostatniej pracy swojej przedstawił zmienne koleje żywota Cesarzowej Eugenji („*L'Imperatrice Eugénie*" *Paris, Fayard et Cie.* Str. 443). Długi, niemal całe sto lat trwający, żywot Cesarzowej Eugenji, jej „bajeczną karjerę", która zakończyła się klęską, wreszcie pół wieku żałoby i wspomnień bolesnych, opowiedział autor żywo i barwnie,

unikając przesady w rozkładzie świateł i cieni, oddzielając starannie fałsz i plotkę od prawdy istotnej.

„Blaski i nędze“ życia Cesarzowej Eugenji są powszechnie dość znane, należała bowiem do tych postaci historycznych, któremi bardzo się zajmowano — w książce tej wszakże znajdujemy sporo rzeczy nowych, ujawnionych dopiero w ostatnich czasach. Zwracamy zwłaszcza uwagę na to wszystko, co autor mówi o zachowaniu się Cesarzowej Eugenji podczas wielkiej wojny, jak żyła nadzieją zwycięstwa Francji i t. p. Ciekawy szczegół przytacza autor, dotyczący listu Wilhelma I-go do cesarzowej Eugenji, w którym podane są motywy aneksji Alzacji i Lotaryngji. List ten zakomunikowała cesarzowa Clemenceau, który odczytał go na uroczystem posiedzeniu w Sorbonie, w obecności ambasadorów państw sojuszniczych. Ważny ten dokument sprawił, że kwestja Alzacji została załatwiona na konferencji pokojowej bez dyskusji, że nie było mowy, z powodu przyłączenia tego terytorjum, o plebiscycie... Takich i t. p. szczegółów, świadczących o żywem poczuciu patrjotycznem b. cesarzowej Francji, sporo znajdujemy w książce jej ostatniego biografa. (W. J.)

*

Królowej Marji - Antoninie i Axelowi Fersenowi, którego nazywała „najbardziej kochanym i kochającym“, ich wzajemnym uczuciom, poświęcił swoją ostatnią pracę znany powieściopisarz francuski, Emil Baumann. („*Marie-Antoinette et Axel Fersen*“. *Paris*, *Grasset*. Str. 269). Dzieje Marji-Antoniny są dobrze znane, ciekawość więc czytelnika skupia się tu przedewszystkiem na tym arystokracie szwedzkim, który, wyróżniony przez nieszczęsną królowę wśród wszystkich jej wielbicieli, wytrwał w idealnej dla niej miłości do dnia kresu jej i swego żywota.

W książce więcej mowy o tem, jak Fersen usiłował podczas W. Rewolucji ratować rodzinę królewską, niż o jego stosunkach uczuciowych z królową, te bowiem ujawniły się tylko w dyskretnych zwrotach korespondencji obu stron, w powściągliwych napomknieniach i konwencjonalnych wynurzeniach. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W POPRZEDNIM numerze pisałem o Bractwie św. Łukasza, ale poza omówieniem ogólnem, z kolejności alfabetycznej osób można było uszczknąć zaledwie dwie litery: C (ybis) i G (otard) — na resztę nie pozwolił brak miejsca. Teraz wracamy do tematu.

W malarstwie Aleksandra Jędrzejewskiego najważniejszą rolę odgrywa kolor. Możnaby powiedzieć, że i w wyborze tematu dźwięczy nuta osobistych i całkiem świeżych w swej odrębności upodobań. Lecz na ten wybór wpływa właśnie kolor. Wyraz barwy, ujrzany w jakiejś rzeczywistości, przyczynił się do zadzierzgnięcia kontaktu między nią i artystą. Rezultatem tego kontaktu staje się obraz, którego stosunek do natury całkiem inny jest, niż u impresjonistów, choć w obu wypadkach chodzi o zagadnienia kolorystyczne. Impresjonistom chodziło przedewszystkiem o podkreślenie jedyności momentu, starali się podpatrzeć ją i utrwalić (np. Monet malował stóg siana o rozmaitych porach dnia). Ta jedyność nie odgrywa roli w pracach Jędrzejewskiego. Większość z nich powstała w pracowni, niezależna od czasu i miejsca, mimo, iż przedstawia rzeczy całkiem konkretne: krajobrazy, domy, miasteczka i t. d. Jędrzejewski komponuje zestawienia barwne, ich racja artystyczna uprawnia je do samodzielnego bytowania, każąc nam wierzyć, iż są tak samo prawdziwe, jak rzeczywistość, od której rzekomo pochodzą.

Jako kolorysta należy Jędrzejewski do najbardziej subtelnych, a zarazem śmiałych. Efekty uzyskuje li tylko przez zestawienia kolorystyczne, co jest grą najtrudniejszą i jednocześnie najszlachetniejszą. Kto widział paletę Jędrzejewskiego, wie, że malarz posługuje się paroma zaledwie farbami, kto widział obrazy, wie, co potrafi z tych farb wydobyć.

E. Kanarek ma na wystawie dwa obrazy. Jeden z nich przedstawia dziewczynę, piegowatą blondyneczkę, z tacą pełną ciastek. I właśnie te ciastka to najlepszy dowcip. Jak piekarz z tutki wyciska różne smakowitości, zdobiąc w rozmaite esy-floresy powierzchnię ciasta, tak też malarz postąpił z farbą na płaszczyźnie płótna, robiąc z niej kremy i masy. To jest teraz w modzie, takie kładzenie farb grubą warstwą, tylko często się tego używa bez poważniejszych powodów, a tutaj ma to swoją rację.

Natomiast drugi obraz p. t. „Idylla“, peszy mię nieco deformacją głów zakchanej pary. Widocznie miłość nie wszystkim służy.

I Michalak jest kolorystą. Tylko gdy Jędrzejewski wszystko wydobywa z zestawień, to Michalaka cieszy już sama barwa. Raduje go suty szmat czerwieni, sprawia uciechę złocistość żółtej, zieleń, róż.

I w tem jest podobny do bujnych malarzy renesansu. Błyskotliwość kolorystyczna wzmaga się jeszcze przez światłocień, lubujący się w silnych kontrastach, dla samej gry poprostu. Wykrywamy i drugie podobieństwo. Poczucie monumentalności.

Malując nawet niewielki obraz, stawia pędzlem takie kroki, jakby przemierzał przestrzeń dużego płótna i miał gdzie się rozpędzić. Więc niech tak już zostanie. Niech pielęgnuje w sobie te właściwości, rzadkie i cenne, malując wielkie kompozycje. Może to znowu kiedyś będzie potrzebne. Więc niech chociaż jeden malarz monumentalnych kompozycyj zostanie na zarybek. Słusznie mówi się o znakomitej technice Michalaka. Ale pierwszorzędnym technikiem możnaby także nazwać Cybisa. Dlatego też muszę ściślej określić, o co mi chodzi. U Cybisa widzi się raczej rezultaty jego zabiegów technicznych, wyniki jego wiedzy, u Michalaka właśnie samą technikę, sprawność fizyczną pędzla: wirtuozerję. Cybis użyje jakiegoś *trick*'u technicznego, ale nie pokazuje go palcem: dyskretny, udaje, że to fraszka. Michalak powiada: co mam sobie żałować? i jazda! Jest w tej zamaszystości coś nam miłego: Polak, gdy mu odebrano szablę, puścił w ruch pędzel.

Michalak pozostał wierny swej technice, klasycznej, swego czasu, dla pracowni Pruszkowskiego.

Przykro mi, że nie mogę powiedzieć żadnego komplementu Januszowi Podoskiemu. Artysta posiada wszelkie dane po temu, aby robić postępy i dawać nam rzeczy coraz lepsze i coraz bardziej własne; niestety uparł się przy obecnej postawie artystycznej. Trzeba zdobyć się na wysiłek zmiany dotychczasowych ideałów.

Może największych zmian w obrębie swego gospodarstwa sztuki dokonał Cz. Wdowiszewski. Zdobył się nietylko na krok naprzód, ale i uczynił ten krok w całkiem odmiennym niż dotychczas kierunku. Prace jego zyskały na dekoracyjności: przy — jak dawniej — pieczołowitem traktowaniu formy, Wdowiszewski nie notuje z natury wszystkich szczegółów kształtu. Wybiera zeń momenty najbardziej istotne, uogólniając resztę. Fragmenty wybrane opracowuje troskliwie. W tem wnikli-

wem potraktowaniu rzeczy, uznanych za ważne, jest jakaś delikatność, która strzeże je od suchości. Kolor jednolity obejmuje całość kształtu, jednocząc odchylenia barwne, zawarte w jego obrębie. Jest tu prostota, ale niema powierzchowności. Jest miłość drobiazgów, ale niema pedanterji. I technika, konsekwentnie stosowana, idzie po linji takiego właśnie ujścia. Farba, w stanie dosyć płynnym, pokrywa powierzchnię, nie uplastyczniając kształtu z taką siłą, jak to może czynić, posiadając gęstość normalną. Przezroczystość staje się nieco zdematerjalizowana.

Obraz, przedstawiający, siedzącą postać kobiecą z pomarańczą uważam za najlepszy.

Co do Jana Wydry — pozostał w tyle za swymi kolegami i musi się podciągnąć.

Natomiast Jan Zamoyski zrobił duże postępy i także zerwał z przeszłością. Już dawniej artysta posiadał dobrą znajomość rzemiosła, pod względem jednak dojrzałości artystycznej (ujmowania rzeczywistości) należał do najmłodszych „łukaszaków". Dziś notujemy większą daleko samodzielność. Przedtem natura zmuszała Zamoyskiego, by ją powtarzał niewolniczo, narzucała mu się. Teraz on wybiera z niej to, co mu potrzebne. Wybiera nie zawsze jeszcze własną decyzją, czasem odwołuje się do cudzego autorytetu. Lecz i to minie. W tych zmianach i rozwoju niejednego przełomu będziemy zapewne świadkami, ale jedno było i pozostanie: rzetelność.

Pisząc o „łukaszakach" niektórzy podzielili ich na dwie grupy. Może być i tak. Ja tego robić nie będę.

*

Czwartek 14-go b. m. stał się dla sztuki dniem naprawdę świątecznym. W Alejach 3-go Maja niedaleko mostu Poniatowskiego dokonano uroczystego otwarcia Muzeum Narodowego, w nowej i już całkowicie dostosowanej do dzisiejszych potrzeb muzealnych, siedzibie. Oczywiście gmach jako całość nieprędko jeszcze będzie gotów; tymczasem mamy $^2/_7$-me: skrzydło, w którem umieszczono całe zdobnictwo, pracownie, bibljotekę, zbiory graficzne. Drugie $^2/_7$ budynku są już na ukończeniu, tu znajdzie pomieszczenie Muzeum Wojska. Na resztę: $^3/_7$ zabrakło pieniędzy, a może raczej dobrej woli dzisiejszych ich szafarzy. Bo niedaleko Muzeum stoi gmach B. G. K., bardzo brzydki zresztą; kosztował bez mała dwa razy więcej, niż nań przeznaczono i jakoś pieniądze się znalazły. Nie traćmy więc nadziei, że i potrzeby Muzeum zostaną wreszcie uwzględnione.

Jakże się przedstawia część dzieła, już dokonana? „Serce rośnie" powiedział mi jeden z przyjaciół po powrocie z uroczystości otwarcia. I naprawdę tak jest. Radość, wzruszenie ogarnia, gdy się ogląda te wszystkie skarby naszej przeszłości, radość, że się to ma i chciałoby się je całemu światu pokazać. Na Podwalu, w gmachu nieodpowiednim, nikło to w ciasnocie, wielu rzeczy z powodu braku miejsca nie można było nawet pokazać. Tu się je widzi dopiero w całej ich krasie. W Warszawie, niebogatej w zbiory muzealne, powinny spełnić swe przeznaczenie. Pokazać najszerszym warstwom ciągłość ewolucyjną naszej kultury i uświadomić, iż naród nie tworzy jej z dnia na dzień.

*

W Instytucie Prop. Sztuki, na „Salonie Zimowym" rozdano nagrody. Otrzymali je: prof. Skoczylas — nagrodę Banku Rolnego (za walory etnograficzne swego dzieła), prof. F. Kowarski — nagrodę Prezydjum Radji Ministrów, prof. Pruszkowski — Ministerstwa Spraw Wewn., Alf. Karpiński — Ministerstwa Spr. Zagr. i Mieczysław Szulc — Funduszu Kultury Narodowej. W dziale rzeźby nagrodę Funduszu dostali B. Wójtowicz i Alf. Karny za piękną, pełną szlachetnego patosu rzeźbę, przedstawiającą gen. Sowińskiego (fragment pomnika).

WIKTOR PODOSKI

TEATR

NOWA KOMEDJA KIEDRZYŃSKIEGO

WYSTAWIONA w teatrze Małym komedja Stefana Kiedrzyńskiego p. t. „Szczęście od jutra" stanowi ważny (mam wrażenie) etap w rozwoju tego utalentowanego pisarza, który chociaż jest ulubieńcem teatralnej publiczności warszawskiej od lat stosunkowo długich, znajduje się ciągle jeszcze w fazie dojrzewania i kulminacyjnego punktu swojej twórczości jeszcze nie osiągnął. Jest już, i to oddawna, niepospolitym majstrem w operowaniu sytuacjami scenicznemi, w montowaniu technicznem efektów dramatycznych, w posługiwaniu się świadomem wynikami doświadczeń fachowych. Zna mechanizm widowiska komedjowego wybornie i pod wielu względami nie ustępuje najbardziej renomowanym zawodowcom zagranicznym. Ale na szczęście ciągle robi postępy. Ciągle coś zdobywa.

W „Szczęściu od jutra" podziwialiśmy wirtuozerję, z jaką przeprowadził rozwiązanie kunsztownie zadzierżgniętego węzła komedjowego, ponadto jednak doświadczaliśmy wrażeń głębszych, jakich poprzednie utwory Kiedrzyńskiego nam nie dawały. Niespodzianką rewelacyjną (u tego pisarza) był przewrót moralny w duszy głównej bohaterki utworu w akcie trzecim. Fakt, że wyrzekła się ona ukochanego mężczyzny na rzecz córki, zaskoczył nas poniekąd. Jakto, więc nie pojechała do Paryża? Kobiety w sztukach Kiedrzyńskiego dusz zdolnych do reakcji moralnej do tej pory zwykle nie miewały. Autor lubił nam pokazywać istoty tak bezduszne, jakich w życiu spotykać nigdy się nam nie zdarzało.

Szczególnym zbiegem okoliczności istnieje ścisła korespondencja pomiędzy „Szczęściem od jutra", a granem obecnie w Teatrze Nowym „Drugiem imieniem miłości" Miłaszewskiego. Tutaj matka wyrzeka się narzeczonego na rzecz córki, tam ojciec narzeczonej na rzecz syna. Miłaszewski góruje nad Kiedrzyńskim subtelnością dowcipu. Nigdy by sobie nie pozwolił na tak taniutkie koncepty, jakie słyszymy w pierwszym akcie „Szczęścia" (Rozmowa o literaturze). Ale mimo to, że poziom dowcipu u Kiedrzyńskiego bywa niekiedy niegodny talentu dramatycznego tego pisarza, jest w jego sztuce mnóstwo walorów, brak soli attyckiej okupujących.

Cały zespół aktorów, biorących udział w widowisku, zasługuje na gorące komplementy. Najgorętsze należą się pani Kamińskiej, która znalazła w tym utworze bardzo rozległe pole do popisu i grą swoją wzbudziła wśród publiczności entuzjazm frenetyczny.

ZASTĘPCA

OFENSYWA

TYGODNIK ZSEMITYZOWANY

NA ZJEŹDZIE katolickich pisarzy, a więc i dziennikarzy i literatów, nie tylko przynależnych do Kościoła katolickiego, ale gotowych obecnie w dobie kryzysu cywilizacyjnego każdej chwili do aktywnej obrony katolickiego światopoglądu, zapadła uchwała, zobowiązująca moralnie pisarzy katolickich do nie pisania w „Wiadomościach Literackich". Decyzja całkiem słuszna i zrozumiała, wobec bojowo antykatolickiej postawy, jaką to pismo ostatnio przybrało, i bezecnie brutalnych i ordynarnych napaści na duchowieństwo pana Boya.

Ale jak teraz wobec tej decyzji ułożą się stosunki katolicko-polskich pisarzy do „Tygodnika Ilustrowanego"? Ten najstarszy tygodnik obrazkowy, który ma najpiękniejsze tradycje i olbrzymie zasługi dla literatury polskiej, od jakiegoś czasu powoli ale konsekwentnie stał się poprostu ekspozyturą „Wiadomości", jakiemś *„dependence"* czy folwarkiem tej samej grupy i tej samej ideologji. „Wiadomości" okazały się świetnie zorganizowaną wylęgarnią, cieplarnią czy też szkółką, dochowywającą młodziutkie latorośle, które potem zasadzono po wszystkich innych pismach i na co ważniejsze posterunki. Najwięcej stosunkowo przeszło do „Tygodnika Ilustrowanego", który z perjodyku, przeznaczonego dla rodzin polskich, przekształcił się w przeciągu kilku lat, a już w ostatnim roku definitywnie na skamandryczno-sanacyjne pismo. W skamandrycznym „Tygodniku" do głosu i to pełnego dorwali się ci wszyscy, którym w „Wiadomościach" było już za ciasno i za oszczędnie. „Tygodnik Ilustrowany" obecnie jest już tylko odmianą czy edycją „Wiadomości" o tyle mniej interesujący, że nie dysponujący świetnem piórem generała Słonimskiego, a o tyle niebezpieczniejszy i szkodliwszy, że zamaskowany. Jeszcze pod dyrekcją p. Zawistowskiego ten patrjarcha pism obrazkowych starał się utrzymać pewien odsetek objektywizmu i neutralności, przestrzegać pewien dystans od życia partyjno-politycznego i nie dopuszczać do zbyt rażącej supremacji w piśmie mentalności semickiej. Jeszcze się krępowano. Bądź co bądź tradycje obligowały. Przecież w tem piśmie Prus — Głowacki bądź co bądź pisywał swe „Kroniki" i staczał boje jasnowidząco z nadchodzącą hegemonją. W tem piśmie drukowali swe powieści, Sienkiewicz, Żeromski, Weyssenhoff przy biurku redaktora zasiadał długie lata nieodżałowanej pamięci Dębicki, sceptra krytyki były w rękach Bogusławskiego, Jabłonowskiego, Lorentowicza, Grzymały - Siedleckiego, fejleton zdobili Perzyński, Choynowski, duszą redakcji był dawny, przemiły Orot.

Teraz po Bekwarkach wzięli lutnie p. p. Pomper (Pomirowski), Breiter, B. Hertz i cały szereg panów, którzy choć nosza staropolskie imiona Wacław, Mateusz, nawet zapewne: Błażej, Bartłomiej, Jacenty mało mają wspólnego ze... słowiańśtwem. Przenieśli się tu z „Wiadomości Literackich" z całym balastem i dobrodziejstwem ideowego inwentarza. Gdyby nazwiska ich kończyły się na ...stein, berg czy sohn, jeszcze wszystko „byłoby w porządku", gdyż lojalne i solidne trzymanie się starego nazwiska jednak zobowiązuje do większej kontroli wypowiadanych myśli i często pisarz, z nazwiskiem, kończącem się na baum, uczciwiej odnosi się do narodu, który mu dał gościnę, niż taki nowy Witołd, Gerwazy czy Benedykt. Wtedy by też dawni, dziedziczni i odwieczni czytelnicy „Tygodnika" zorjentowali się szybciej, że już mają do czynienia z pismem żydowskiem t. j. przez semityzm myślowy kontrolowanem, suggerowanem i nie szliby dalej na lep takich firm pisarskich jak Mateusz Pomirowski, nie daliby się wciągać kolejno w czysto żydowskie adoracje i kulty Chaplina, Kadena, Einsteina, Steinacha, Joelsona, „Hanki Ordon", Chagalla, Heifeca i t. p. i nie tak łatwo trawiliby takie „szmoncesy" analizy krytycznej, jak np. p. Pomirowskiego—Pompera: „zdanie Kadena zawsze po zręby wypełnione życiem" lub p. Breitera arogandkie bluffiady, kazuistyczno-djalektyczne i analityczno-stylistyczne, a jak to już stary Marx określił: po prostu *„szacher"*.

Tento p. Breiter z profesji obrońca prawny, często w sprawach komunistycznych, ale co znacznie gorzej swego czasu zamieszany w aferę nie zbyt pachnącą, w ostatnim numerze tego zsemityzowanego „Tygodnika" dla polskich rodzin zamieścił recenzję z ostatniej powieści p. Marji Dąbrowskiej p. t. „Noce i dnie". Autorka w obozie radykalnym uchodzi za lewicową świętą, za jakąś patronkę i tabu. O jej nowej powieści odrazu sypnęły się recenzje jak z rogu obfitości. Bezwzględnie sympatyczna przez swą aryjskość i genezę z „białego dworku", prozapję szlachecką i ziemiańskość, wysadzoną z siodła, no i odwagę cywilną...

Ale to właśnie i ta kryniczna czystość myśli i odczuwań „szlachcianeczki", drażni widocznie i rozjątrza przeciw niej Freudystów i Reformację Seksualną. Z negatywnym osądem po p. Krzywickiej-Sokołowowej pośpieszył się i p. Breiter. A ponieważ w „Wiadomościach" już nawet nie... wypadało, znalazł upust dla swej semickiej malkontencji w judosłowiańskim „Tygodniku"... I oto czytelnikom z „białych dworków", od pokoleń do „Tygodnika" przyzwyczajonych, przychodzi na stare lata czytać takie koszerne Breiteriana (i to w związku z Dąbrowską!):

> „Doskonale rozumiem psychologizm Prousta *(sic)* który jest genialnem wejrzeniem w mikrokosmos *(sic)* każdego porywu *(sic)* psychologicznego; otwiera on na człowieka perspektywy astronomicznej *(sic)* wielkości — kosmicznych *(sic)* możliwości. Dlatego Prousta nazwałbym Einsteinem współczesnej powieści". *(sic)*

Djabła to kogo obchodzi, czyby p. B. B. nazwał Prousta... Einsteinem. I co to ma za związek z p. Dąbrowską?

Ot, szwindelek judosłowiański w dziedzinie duchowej, taki sam sobie, jak inne szwindle w dziedziniach codziennej codzienności i rzeczywistej polskiej rzeczywistości. Niechże się więc teraz aktualni okkupanowie starego aryjskiego „Tygodnika" nie dziwią „alarmującym wiadomościom" o powiększaniu się ilości żydów w Polsce, pojawiającym się na łamach „pewnego odłamu naszej prasy". Prowadzący rubrykę ideową w „Tygodniku" („Idee i zdarzenia") ironizuje i wyszydza ten „pewien odłam" prasy za to, że w zapale alarmistycznym „Dziennik Bydgoski" nawet z Wilama *(sic)* Horzycy, to jest i p sła z B. B. i dyrektora lwowskiego teatru zrobił „żyda z pochodzenia". Niema żadnej racji w danym wypadku ironizowania. Mylki trafić się mogą. Błyszczące karjery robią u nas teraz albo żydy z pochodzenia albo żydy *honoris causa*, żydy *als Wahlverwandschaft* (powinowactwo z wyboru). Bywa, że nawet t. zw. katolicki pisarz, gdy mu zbrzydnie dola „liszeńca", raptownie żydzieje nam w oczach, staje się *plus Breiter que le „Wilam"*, by z czasem może zostać posłem z B. B., dyrektorem teatru lub filarem „Tygodnika" trzeciej generacji Gebethnerów (czytać: Forsytów.)

Alarmować tedy trzeba i alarmować będziemy. Alarmują dziś wszędzie w Europie (Otto Forst—Battaglia: *„Kampf mit dem Drachen"* 1932). „Tygodnik" zaś jako specjalnie zakażony, wprowadzający w atmosferę rodziny (z obrazkowego pisma pokarm intelektualny czerpiącej) kolejno miazmaty Kadenizmu, Pomperyzmu a ostatnio już i Breiteryzmu, tygodnik infekujący mentalnością swoich „Mateuszów" Pomirowskich (z Pomirowa) nawet ongi katolicko zorjentowanych pisarzy, zasłużył już sobie całkowicie na to, aby sens i cel tego alarmowania wykazywać właśnie i na nim. To na początek.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Oskarżyciel publiczny w procesie Wacława Sieroszewskiego, wytoczonym „Gazecie Warszawskiej", umotywował swoją rolę tem, że przez ukaranie „Gazety" państwo pragnie się odwdzięczyć Sieroszewskiemu za usługi, oddane Ojczyźnie.

W oczach Ojczyzny widzimy zdziwienie, jakby znak zapytania. Więc to już sąd historji i przy takiej okazji?

Są przecież historycy poza ciałem prokuratorskiem i nigdy nie słyszeli, aby to, co robił Sieroszewski, było dla Ojczyzny pożyteczne i wogóle żeby miało jakikolwiek sens. Znany jest bowiem przysłowiowo, jako człowiek nie umiejący myśleć, a w stosunkach polskich orjentujący się nie lepiej od Jakuta.

Wszystko, co robił, miało ten sens, jak postępek jego z Machalskim:

— Pomyliłem się!

Pomylił się w r. 1905, pomylił w 1914 — 18, pomylił się jako panegirysta... Pomylił się o cały obszar i o całe wieki kultury polskiej ze swoją psychiką i manjerą jakucką.

Za to dostojeństwa najwyższe, za to skalpy z głów publicystów polskich. I to w imieniu Ojczyzny.

*

Rekord złego smaku. Półoficjalna, sanacyjna agencja telegraficzna „Iskra" rozesłała następującą depeszę z Genewy:

> „Minister Zaleski nie przybywa do Warszawy na pogrzeb swej matki, ś. p. Anny Zaleskiej. Mimo bolesnego ciosu, jaki dotknął p. ministra Zaleskiego, pozostaje on w Genewie na posterunku, jak żołnierz, broniąc interesów Rzeczypospolitej".

To musiał być bardzo podrzędny żydek, ten korespondent, który wpadł na tak nieprzyzwoity pomysł, aby nawet tej bolesnej okazji nie pominąć dla robienia ministrowi taniej reklamy. I w dodatku ten frazes o „żołnierzu na posterunku", kiedy w Genewie nie dzieje się doprawdy nic wiekopomnego, a dalszy przebieg zatargu chińsko-japońskiego w Mandżurji (nad którym teraz przez cały czas kłopoce się Rada Ligi) zaiste mało jest od genewskich prac p. Zaleskiego zależny...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.